Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 27 września 1936 r. Nr. 39



PIERWSZY UŚMIECH JESIENI...

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Z jednej strony chęć oczyszczenia się w oczach ludzi, którym zawdzięcza ocalenie, a zwłaszcza w oczach Mar-Molli, z drugiej — chęć zdemaskowania Gafaniego podszepnęły mu myśl: „Jeśli napiszę do niej o wszystkiem, łatwiej mi będzie umrzeć. Lżej będzie nastawić pierś pod salwę „guezillasów śmierci."

Gdy naczelnik więzienia przyniósł mu obiad, zapytał go:

— Barradas, czy mógłbyś dostarczyć mi wszystko, co potrzeba do napisania listu? A następnie wysłać list? Jeśli niczem nie ryzykujesz — zrób to... Spełnij moją ostatnią prośbę. Jeśli zaś...

— Tej przysługi nigdy jeszcze nikomu nie wyświadczyłem tu, ale panu, generale, wyświadczę. Tylko nie podejmę się osobiście oddać list z rąk do rąk. Powiem otwarcie — boję się... Mam żonę, dzieci, a Barbasan ma pełno szpiegów wszędzie... Ale i samemu nie chciałoby się zginąć dla listu, który panu i tak nie pomoże... Uciec stąd niesposób, nawet mając wspólników. Jedyne wyjście prowadzi przez główną bramę, a tam ostra kontrola, gdzie urzęduje najmniej dziesięciu ustrojonych zbirów Barbasana...

— Zaczekaj, Barradas, przecież nie chciałbym narażać ciebie! Nigdy! Proszę tylko o jedno — ażebyś wrzucił list do skrzynki towarzystwa okrętowego „Marszałek pragnie rozstrzelać Chana Mugańskiego zbirów Barbasana... Ty niczem nie ryzykujesz...

— Jeśli tak, niema o czem mówić!... Pewno, że zrobię — uradował się Barradas, — wieczorem pocichutku przyniosę wszystko do pisania...

Wieczorem Barradas, jak zwykle zatrzymał się na rozmowę i zakomunikowanie nowin. Tym razem nowiny nie były pocieszające:

— Barbasan lepiej się czuje, jest już na nogach, wychodził nawet, a pierwsze jego zapytanie było o panu... Dziś przyjechał Perejra i oświadczył mi: „Marszałek pragnie rozstrzelać Chana Mugańskiego z pompą i... jutro w nocy..."

— Dziś wcześniej, czy później nie zmienia sytuacji, — wzruszył ramionami Ammałat. — Ale niezupełnie rozumiem, co znaczy „z pompą"?

— A widzi pan, generale, — i o tem wspomniał Perejra, — zabójstwo, przepraszam, stracenie będzie publiczne...

— Przed frontem wojska?

— Nie... pocóż wojsko... publiczność będzie... przeważnie panie... przyjaciółki Barbasana... Będą siedziały przy stoliku i popijały szampana...

Barradas podprowadził Chana do okna, skąd był widoczny równy, wybrukowany, prostokątny dziedziniec, okrążony wysokiemi, granitowemi murami.

— Niech pan patrzy: tu wybudują takie pochyłe schody z szerokiemi stopniami, ażeby wszyscy przy stolikach mogli dobrze widzieć. A pana, generale, tam postawią...

— Więc jakto, Barbasan, ten klown cyrkowy, chce z mojego stracenia zrobić numer atrakcyjny jakiegoś kabaretowego programu? Na takie stracenie za nic nie wyjdę! — stanowczo oznajmił Ammałat.

Barradas pokiwał głową, jakby nie aprobując tego. Jego jedyne oko wyrażało to samo.

— Niech pan tego nie robi, generale! On już obiecał niebywałe widowisko swoim przyjaciołom i dziewkom i... tylko popadnie w szał. A wtedy guezillasi śmierci zbiją pana na kwaśne jabłko w tej celi, pokaleczą i napół żywego zadepczą nogami. Czy chciałby dumny orzeł, by szakale w ten sposób postąpiły z nim?

— Masz rację, niech będzie, co ma być — wzdrygnął się Ammałat.

* * *

...Słoneczny poranek. Piszę w oknie mojego więzienia. Mam nadzieję, że moja francuszczyzna będzie dość zrozumiałą. Mój nauczyciel w korpusie paziów, monsieur Dulon wyróżniał moje francuskie wypracowania. Literacki styl kształciłem zaś na dziełach Alfonsa Dandet'a i Maupassant'a. Jeśli zapomniałem wielu rzeczy i narobiłem błędów, proszę mi darować...

Piszę przy akompanjamencie uderzeń siekier, trzasku desek i wyzwisk stolarzy. Za kilka godzin w tem miejscu będzie estrada, z której rochocona szampanem publiczność będzie się przyglądała mojemu straceniu, jak nadzwyczajnej atrakcji... Prawda, że taka kabaretowa inscenizacja mojego stracenia jest nawet na południowo - amerykańskie stosunki czemś horendalnem?

Mar-Molli, ten list wysyłam do Paryża na adres O'Donnela. Jeśli pani się zatrzyma w Nowej Kartaginie, list ten otrzyma pani dopiero po swoim powrocie. Jest ważną rzeczą, żeby doszedł do celu.

Pamiętasz, gdy pozostawaliśmy sami... Ja nigdy nie wyrzekłem słowa „kocham"... Poco? Słowa są tak blade wobec uczuć... Czy nie rozumieliśmy siebie? Czy nie jednakowo biły serca nasze?

Gdy pani przeczyta te słowa, autor ich będzie już w innym świecie. Jego ostatnią myślą byłaś Ty i z Twojem imieniem na ustach umarł... Pragnę, by pani o tem wiedziała, i chcę jeszcze, żeby cała trupa wiedziała, kto jest przyczyną mojego zniknięcia...

To — Gafani...

Dopiero teraz zrozumiałem jego djabelski plan. Mój fatalny sobowtór zamierzał usunąć mnie, ażeby zająć moje miejsce, jak przy pani, tak i przy moim dziadku Ałmaz - Chanie. Mój dziadek nie jest tak młody, by mógł zemścić się za mnie, ale, niestety, jest już na tyle stary i słaby, że bodaj nie odróżni sprytnego awanturnika od swojego wnuka...

Gafani zdobył moją tajemnicę, którą ukrywałem przed wszystkimi, nawet przed panią, Mar-Molli! Tą tajemnicą są poszukiwania Ałmaz - Chana za mną. On pragnął zobaczyć mnie przed samą może śmiercią i przekazać mi, jako prawemu spadkobiercy, rodowe skarby mugańskiej dynastii... W paryskim meczecie dowie się pani o miejscu pobytu mojego dziadka. Proszę udać się do niego czemprędzej z moim listem i opowiedzieć mu o wszystkiem. W ten sposób zostanie zdemaskowany samozwaniec Gafani! Od pierwszego spotkania nie miałem zaufania do niego. Dwa razy narzucał mi się z propozycją przejażdżki do miasta. Odmawiałem, nie mając żadnych powodów i podejrzeń. Nieświadomie... Za trzecim razem pojechałem... I któżby nie pojechał na mojem miejscu? Własnoręczny list najbliższego przyjaciela i przedsmak... zemsty na zabójcy generała Bem - Ermolli...

W połowie drogi Gafani uśpił mnie narkotykiem Ocuciłem się w kajdanach na jachcie, który wiózł mnie do Huelony do twierdzy konkwistadorów. Gafani sprzedał mnie Barbasanowi, napewno, za wielkie pieniądze. W imię naszej głębokiej przyjaźni, Mar-Molli, w imię prawdy, w imię łez pani w owym najpiękniejszym dniu mojego życia, w imię tego wszystkiego proszę podać do wiadomości O'Donnela i reszty grupy część mojego listu, która dotyczy sprawy Gafaniego. Proszę również pozdrowić ich serdecznie. A pani życzę — szczęścia! Proszę pozostać taką samą niezrównanie piękną i czystą jak tam w pustyni, a jeśli zechce pani pomyśleć kiedyś o Ammałacie, który kochał ją jak nigdy żadnej kobiety nie kochał, to świadomość

o tem sprawi mi nieopisaną błogość tam, dokąd za kilka godzin będę przeniesiony wolą Allacha.

* *
*

Barradas przyniósł obiad i koniak. Ostatni obiad ostatni koniak.

Ammałat przypomniał sobie powieści z bohaterami w takiem samem położeniu. Przed straceniem przed oczyma ich duszy, stanęła ich cała przeszłość, całe ich życie i jedli wówczas bez apetytu, częściej wcale nie jedli...

Ammałat nie sięgał w przeszłość, on żył cały teraźniejszością. On będzie pił i będzie jadł, jak zawsze, nie spiesząc się, ze smakiem i jeszcze dodając temu specjalną wagę, wagę niepowtarzalności... Inny straceniec bardziej małoduszny, mniej ambitny, nie wytrzymałby przed pokusą wypicia całego koniaku naraz, by upić się i złagodzić strach, utopić go na dnie flaszki. Pijanego do utraty przytomności powlekliby pod ręce na rozstrzelanie.

Nie, on wypił tylko tyle, ile potrzeba było, ażeby utrzymać dobry, spokój. Wypił dużą szklankę.

Łykami, jak winem, zapijał dotkliwie mięso młodego koźlęcia. I powoli smakując, palił sobie gardło mocnym, złotawym płynem. Mięso powoli przeżuwał również delektując się każdym kęsem.

A tam, za oknem wykończono pracę. Na drewnianych platformach, zbudowanych amfiteatralnie, ustawiono restauracyjne stoliki, pokryte białemi obrusami. A na każdym stoliku wazę z butelką szampana. Barbasan starał się jak najefektowniej urządzić grające na nerwach przedstawienie.

Kilku wyfraczonych maître d'hotel'ów robiło ostatni przegląd stolików, szampana i nakryć. — Wszystko to błyszczało w oślepiających promieniach elektryczności. W nocy, było, bodaj, jaśniej, aniżeli w dzień. Rozpoczął się zjazd.

Wyły syreny podjeżdżających do bram twierdzy samochodów.

Pierwszy, jak wypada gościnnemu gospodarzowi przybył Barbasan w nowym mundurze marszałka polnego z błękitną wstęgą, gwiazdami i orderami. Na głowie trójkątny pieróg z piórami. Ręką w białej rękawiczce wycierał spoconą twarz, mięsistą, czerwoną...

Barbasan witał najpoważniejsze damy w balowych strojach, futrach i brylantach, wyznaczając im niższe stoliki w pobliżu „miejsca akcji."

Panie rozglądały się podnieconemi oczyma. Silne wrażenia, których świadkami miały być, podniecały je. Mężczyzn było mniej. Czy nie dlatego, że mężczyźni są wogóle mniej krwiożerczy i okrutni od kobiet...

Patrząc przez okno, Ammałat poznawał niektóre panie z lepszego towarzystwa stolicy, panie ze świata, ale były też i damy z półświatka. Tych Barbasan nie odprowadzał do stolików.

I gdy już cały amfiteatr się wypełnił, gdy szampan, pieniąc się, polał się do kielichów, miarowym krokiem przeszedł pluton guezillasów śmierci z karabinami i wyrównał się pod boczną ścianą...

— Pierwszy dzwonek! — żartowali goście marszałka.

Ammałat posłyszał za drzwiami kroki kilku par nóg i bezpośrednio potem klucz zgrzytnął we drzwiach...

Chan odszedł od okna i stanął w oczekującej postawie w środku celi z podniesioną głową i skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

— Teatralnie? Niech tam!... Czy to wszystko nie teatr?

Otworzywszy drzwi, Barradas przepuścił pułkownika Perejrę, bruneta z domieszką indyjskiej krwi.

Perejra skłonił się oficjalnie.

Ammałat odpowiedział krótkiem kiwnięciem głowy.

— Chanie Mugański... Pana ostatnie życzenia? Ale, uprzedzam, pisanie listów wykluczone...

— Moje ostatnie życzenie? Mam trzy: nie zawiązywać mi oczu, nie przywiązywać mnie do słupa i, wreszcie, pochować mnie podług mojego obrządku, nie rozbierając mnie i nie zmywając śladów krwi...

— To wszystko?

— Wszystko!

— Pana ostatnia wola będzie spełniona. Ceremonją będzie dowodził sam marszałek polny...

— Winszuję mu. Być katem łatwiej i bezpieczniej, aniżeli...

— Chanie Mugański, zabraniam panu odzywać się w ten sposób o wielce szanownej osobie marszałka... Proszę pofatygować się ze mną...

Ammałat wzrokiem zdążył pożegnać Barradasa. W jedynem oku starego naczelnika więzienia błysnęła łza...

22 Kielich szampana

Na przedzie postępował pułkownik Perejra. Za nim szedł Ammałat pod konwojem dwuch guerillasów śmierci z obnażonemi szablami.

Barradas pozostał sam.

On nie chce patrzeć na to wszystko i nie chciałby nawet słyszeć salwy. Ciężko mu. Ciężko temu, który trzy czwarte swojego życia patrzał na okropności więzienne. A tej wystrojonej publiczności wcale nie ciężko. Przeciwnie, daria się na to więzienne podwórko, gnana nieróbstwem i chęcią nowych wrażeń. Przecież to będzie tak podniecająco nowe, po bezsennych nocach w drogich spelunkach, po jazzbandzie, kokainie, alkoholu, rozpuście, po tem wszystkiem, co rujnowało system nerwowy i zabijało najlepsze uczucia.

Dobijano się po zaproszenia na to krwawe przedstawienie, jak po największy zaszczyt. Barbasan otrzymał mnóstwo listów, telefonów, osobistych wizyt. On uważał siebie za bohatera dnia, za jakiegoś utytułowanego impresarja. I jak impresarjo odpowiadał:

— Niestety, ilość miejsc jest bardzo ograniczona. Więzienny dziedziniec jest tak niewielki.

Jakaś dama z ustami wampira i napoły zwarjowanym wzrokiem, która z trudem otrzymała stolik, nie wytrzymała:

— Jakże panu nie przyszło do głowy, marszałku?! Trzeba było zorganizować to w wielkiej operze państwowej na jakiś dobroczynny cel. To nie podwórze więzienne! Tam cztery tysiące miejsc...

— W państwowym teatrze niezupełnie wypada, — odpowiedział dyktator ekscentrycznej damie.

Barbasan przysiadał się do różnych stolików, pociągał szampana i uspakajająco odpowiadał na niecierpliwe pytania:

— Kiedy się zacznie?... Kiedyż wreszcie?...

On sam odczuwał jakieś osobliwe podniecenie.

Nagle ujrzał Ammałata z Perejrą na przedzie i dwoma guezillasami po bokach.

Patrząc przed siebiem Chan przeszedł koło trybun, na których zapanowała cisza i, podszedłszy do ściany, stanął do niej plecami, a twarzą do publiczności.

Barbasan zajął się ceremonją.

Wino zdążyło uderzyć mu do głowy. Nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Poza tem jeszcze szabla plątała się między niemi. Tylko patrzeć, jak marszałek polny się przewróci. Odpiął szablę i oddał ją młodszemu adjutantowi.

— Kiedy będę musiał dać znak strzelcom, wyciągniesz ją z pochwy i podasz mi.

Z jednej strony Barbasan śmiertelnie nienawidził Ammałata, z drugiej zaś on, Barbasan, jest przedmiotem uwagi całej publiczność. W takich okolicznościach nie można ograniczyć się do banalnego rozstrzelania. Trzeba jeszcze wykombinować coś takiego, coby możliwie poniżyło Chana, zatruło mu ostatnie chwile i zabawiło publiczność.

Tak, tak!... poniżyć, obrazić!... On zanadto jest dumny, za wielkie jest jego dostojeństwo!

I gdy Barbasan w piętnastu krokach od Ammałatą postawił w dwuszeregu dwunastu guezillasów z dwunastoma karabinami, krzyknął w stronę amfiteatru:

— Kielich szampana!

Główny maitre d'hotel kłusem pobiegł przez całe podwórze i z zawodową zręcznością, nie przelawszy ani kropli szampana z wypełnionego po brzegi kielicha, stanął z szacunkiem przed Barbasanem.

Ale marszałek, zachwycony swoją własną rolą, nie spieszył się. Niech efekt się przedłuży. Nie spiesząc się wytarł chustką spoconą twarz, zdjął pierog z głowy i dobrą minutę ochładzał się nim, jak wachlarzem. Następnie oddał pierog adjutantowi.

Wyjął z pieszeni rewolwer i wziąwszy z tacy kielich, zbliżył się do Chana.

Ammałat ujrzał przed sobą czerwoną, miękką, tłustą twarz, ściśniętą złoconym kołnierzem, ujrzał tępy wzrok, niskie czoło i nad czołem kopicę gęstych, tłustych włosów.

Zapach rozpalonego ciała i fizyczny wstręt dusił wprost Ammałata, ale zachował zimny spokój.

Barbasan, prawie dotykając lufą rewolweru piersi Ammałata, z głupio - tryumfującym uśmiechem podał mu kielich.

— Może pan wypić za moje zdrowie! Cha, cha... Oto jaki zaszczyt okazuje waszej wysokości marszałek polny...

Ammałąt, nie ruszając się, spoglądał na niego z zimną pogardą.

Najbliżej obserwowali tę scenę adjutant z pierogiem i szablą marszałka, maitre d'hotel z pustą tacą i strzelcy z opuszczonemi karabinami.

Barbasan znalazł się w głupiej sytuacji.

Kielich pozostał w jego ręku.

Zamiast poniżonego Ammałata, został jakby poniżony śmieszny marszałek polny.

Barbasan, naciskając rewolwerem pierś Chana, złośliwie zasyczał:

— Jeśli natychmiast nie wypijesz, zastrzelę ciebie, jak psa.

Ale i ta groźba nie poskutkowała.

W nieskończoność przeciągała się pauza i dla Barbasana i dla tych, którzy stali w pobliżu i dla widzów...

Już stamtąd, z amfiteatru słychać było gwar przytłumionych wykrzykników.

Może już ogólny nastrój zdobywał ten bezbronny, którego nerwy okazały się mocniejszemi.

Cały ponsowy Barbasan syczał:

— Będę liczył do trzech... Raz... Dwaaa... Trzyyy... Strzelam! — zagroził marszałek, ale nie wystrzelił.

— Nie masz odwagi, tchórzu, — cichym, ale metalowym głosem mówił Ammałat, — ale, żeby ciebie nie zawstydzić, marszałku polny z mięsnego straganu, przed swołoczą, którą tu zebrałeś, wypiję... Daj tu!

Nie spuszczając oczu z Barbasana, wprost hypnotyzując go swoją pogardą, Ammałat powoli wziął kielich do rąk, powoli podniósł do ust i krótkim, celnym ruchem trysnął szampanem prosto w oczy Barbasanowi...

Barbasan wypuścił z ręki rewolwer i oburącz chwycił się za twarz...

Gafani wieńczy swoją skroń cudzemi laurami

Przez całe swoje życie Gromenia nie miał takiej podróży morskiej. Częstowano go coctailami, pchano mu do kieszeni dolary, franki, pezo... On zaś zabawiał bogatych Amerykan swoją gitarą, uczuciowym śpiewem resztkami głosu, ruchliwą maską komika i opowiadaniami.

To wszystko nie podobało się Gafaniemu. Coctaile, pezo, franki, dolary, — głupstwo! Niech tam stary używa przez te dwa tygodnie! Ale, gdy ten stary dureń już zanudno rozpuszcza swój bezkostny język, chciałoby się trzepnąć go po karku!...

Cóż tak raziło Gafaniego?

Gromenia opowiadając Amerykanom o cudach obozu, zamieciomego przez piaski pustyni, za dużo okazywał zachwytu nad wyczynami Chana - Mugańskiego:

— Rycerz, bohater, wspaniały kawalerzysta, królewicz z bajki! A jak on życie uratował jemu, Gromenii! Tego nie można opowiedzieć! To trzeba widzieć!

Pewnego razu w barze, Gafani złapał Włocha na „gorącym uczynku."

Eks - śpiewak wychwalał przed Amerykanami swojego przyjaciela Ammałata...

Gafani spojrzał na Gromenię takim wzrokiem, że biedakowi nogi i ręce zadrżały, a język momentalnie stracił całą swoją elastyczność.

W odpowiednim momencie Gafani chwycił śpiewaka za łokieć i, jak niegrzecznego sztubaka, wyprowadził na pokład.

— Przespacerujemy się trochę.

„Spacer" nie był nader przyjemny dla Gromenii.

— Pan do reszty zwarjował! — wypalił Gafani.

— A czemu?

— Jak to czemu! Niema innych tematów? Pan nic innego nie robi, tylko reklamuje tego Chana Mugańskiego, jak wędrownego linoskoczka!

— A chyba nie można? — nieśmiało zapytał Gromenia.

— Nie na miejscu i głupio!... Trzeba być kretynem, żeby tego nie rozumieć! Ja, Gafani, ja jestem głównym bohaterem filmu!... O mnie trzeba mówić, a nie o Chanie, który tylko zastępował mnie w dwuch czy trzech miejscach... Dla publiczności nie egzystują dublerzy, tylko bohater!... Jemu należy się powodzenie, laury i wszystko...

— Więc cóż mam robić?

— Chwalić mnie! A jeśli panu tak ciężko powiedzieć kilka komplementów o człowieku, który wydał już na pana około tysiąca pezo, to przynajmniej proszę milczeć, stary ośle! Też wybrał się w porę! Pojutrze wszyscy ci, którym pan opowiadał bujdy, będą oglądali wyjątki z mego filmu, a więc... porusz pan trochę swoim rozrzedzonym mózgiem... Zrozumiano?

— Zrozumiałem!

— Chwała Bogu! Nareszcie! Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!... Żebym więc nie słyszał zachwytów pod adresem tego azjatyckiego Chana, którego zakatrupił jakiś alfons w jakiejś spelunce Nowej Kartaginy. Zachwycający finał dla „królewicza z bajki"...

— Ja nie chcę i nie mogę wierzyć w to! — nabrał nagle odwagi Gromenia.

— Patrzcie, jakie to ważne: wierzy czy nie wierzy stary pijanica!

Włoch zamrugał swojemi starczemi powiekami, gotów do płaczu.

— Brakowało tylko tych alkoholowych łez! Oto dwadzieścia dolarów i jazda po rozum do głowy! Podczas wyświetlania filmu, będzie pan wrzeszczał w najbardziej efektownych miejscach: „Brawo, Gafani, brawo!... Przyrzeka pan?

— Przyrzekam! — i chcąc poinformować się uczciwie o wszystkiem, Gromenia zapytał: A gdy Donkunda będzie pana dusił, też mam krzyczeć „brawo"?

— Nie, ten człowiek ma doprawdy rozrzedzony mózg!

— No już dobrze, dobrze, przepraszam!...

Wszystko to było potrzebne Gafaniemu również do ostatecznego pokonania gorącego serca pani Gonzales, bowiem marzeniem tej prowincjonalnej gąski był romans z prawdziwym gwiazdorem filmowym.

I oto jej marzenia się ziszczały. W półmroku sali siedzi obok gwiazdora. Ich nogi i ręce dotykają się, a na ekranie jej bożyszcze dokazuje cudów zwinności, szlachetnej śmiałości i odwagi.

Madame Gonzales mdlała z zachwytu. I nie tylko ona. Żaden z gości nie wątpił, że to Gafani, siedzący

obok „świńskiej królowej", tam na filmie cudem ratuje żywcem pogrzebanego Gromenię...

Szalone oklaski... Spojrzenia w stronę żywego Gafaniego, który przezornie posadził Gromenię przed sobą. Temu zaś, mimo otrzymanych dwudziestu dolarów sumienie nie pozwalało krzyczeć „brawo, Gafani!" Siedział więc cicho i cały skurczony, jak pies, który spodziewa się kopnięcia nogą. Gafani, widząc, że Gromenia milczy, zachęcał go do okrzyków, kopiąc nogą w tak czułe miejsce, jak łydka...

Gromenia podskakiwał z bólu i krzyczał, niewiadomo czemu, po włosku:

— Ewwiwa Gafani!... Ewwiwa il celebre cavalezisto!...

Wszyscy, począwszy od O'Donnela, Benau i kończąc na Brodzkim, (zagryzając wargi, wysłuchiwali tych owacyj pod mylnym adresem. Ale musieli milczeć, gdyż zastępstwo w rolach jest tajemnicą zawodową. Publiczność winna ślepo wierzyć w bohatera i w jego wszechstronność.

Gdyby ktoś z trybuny zrobił mu wymówkę, on powie na swoje usprawiedliwienie:

— Byłem wstawiony i nic nie pamiętam...

Ciężko było członkom trupy patrzeć na Chana, na każdy jego ruch, na każdy drobny szczegół i mieć to przeświadczenie, że już nigdy nie wróci.

Dla Mar - Molli było to istną męczarnią, okrutną, szarpiącą nerwy...

Na początku ze swojego kiosku, jak z loży, obserwowała ekran... Ale to było ponad jej siły. Odwróciła się z żalem w duszy i z burzą w sercu. Coś ściskało jej gardło. Nie mogła już patrzeć na własną grę z Ammałatem —

Trzeba wytrwać na posterunku gwiazdy, upiększającej kiosk z szampanem na dobroczynne cele, na posterunku olśniewająco pięknej królowej, schodzącej do poziomu swoich poddanych, królowej w pięknej balowej toalecie i brylantowym diademie, kupionym nie za pieniądze bogatego opiekuna, a za swoje własne, zapracowane własnym talentem.

I gdy zapłonęło światło, a panowie, jak żelazo do magnesu, pociągnęli do kiosku Mar - Molli, królowa z łaskawym uśmiechem podała im kielichy, napełnione przez lokaja w liberii. Stosy banknotów rosły.

Panowie tłoczyli się przy kiosku, gdyż każdy z nich miał nadzieję, że wraz z kielichem szampana, otrzyma uśmiech „dojrzałych" ust i wielkich fiołkowych oczu.

Szczodrze płacili Amerykanie, ale rekord pobił Viljegosa, który wypił dziesięć kielichów i po każdym kładł na tacy tysiąc dolarów.

Po przerwie kurtyna się rozsunęła i oczom widzów ukazała się scena, zalana równobarwnemi promieniami światła, a na niej dziewicza Manija d'Or, osłonięta bronzową z białemi plamami skórą. Na głowie hełm z dwoma rogami. To dodawało jej zaczepnej postawie wojowniczego wyglądu. W takich hełmach staro - germańskie i gallijskie kobiety szły do boju razem z wojownikami własnego plemienia...

Partnerem, a raczej przeciwnikiem Maniji był Antonio Savedra w kostjumie matadora, bogato wyszywanym złotem. W tym ubiorze Savedra wydawał się młodszym, zgrabniejszym i wysmuklejszym...

Rozpoczął się taniec — skecz. Wamp zaatakował matadora, przydeptując swojemi toczonemi, o-ślepiająco białemi nóżkami. On z równą gracją unikał ataków pięknego przeciwnika, by samemu przejść do ataku, wywijając czerwoną muletą. Savedra zachwycał swoją nieprawdopodobną zręcznością i plastyką, jak ongi na arenach Madrytu i Sewilii, pobudzając do szalonych owacyj tysiące widzów.

I teraz, w tej sali, Hiszpanie krzyczeli:

— Ole, Savedra, Ole!...

Matador zdjął swój kapelusz, zrobiony z czarnych koronek i z podniesioną ręką obszedł niewielką scenę, jak obchodził kiedyś kolosalną arenę...

Manija otrzymała kolosalny kosz kwiatów.

Od kogo?

Odpowiedzią były: zachwycona twarz Gonzalesa i błyszczący z zazdrości koniec zadartego nosa jego żony.

O! ona się zemści! Tej nocy jeszcze ona upiększy małżeński łeb parą takich samych rogów, jak na hełmie złotowłosej Maniji d'Or. O! to będzie efektowna zdrada! Nie z byle kim, a ze znakomitym gwiazdorem, który przed chwilą czarował swoją wyjątkową odwagę. Ba! pełen animuszu wyrywał z piasku śmiesznego starowinkę, zagrzebanego żywcem prawie po szyję.

* *
*

Te same kolorowe światła ostro podkreślały grę herkulesowych mięśni Donkundy pod ciemnobronzową lśniącą skórą... Na głowie miał czerwony zawój, a cały ubiór stanowiły króciutkie białe spodeńki.

— Ach, jak on jest piękny, jak nieznośnie piękny jest ten czarny półbóg! — głośno i bezwstydnie zachwycała się Lilian, siedząca w pierwszym rzędzie. W przerwie zdążyła nawąchać się białego proszku i wypić kilka kielichów „dobroczynnego" szampana.

Ale gdy Senegalczyk zaczął giąć monety i podkowy, rwać talje kart, gdy skręcał żelazny pręt w podwójny węzeł, a na piersiach i plecach wystąpił mu kroplisty pot od wysiłku, Lilian zaczęła dziko piszczeć:

— Nie mogę więcej, nie mogę... Dajcie mi go... Dajcie zaraz... Dajcie mi mojego pół - boga. Jak on się pięknie spocił!... Chcę go wdychać! Wdychać!...

Ona nie mogła wysiedzieć na miejscu, gotowa rzucić się na scenę, ażeby spleść swoje chude, wyniszczone ciało z potężnem, kolosalnem ciałem Senegalczyka...

— Ja kupię go... Kupię z tym żelaznym węzłem... Niech on i ze mnie zrobi taki węzeł... Niech! Ja na wszystko mu pozwolę!...

Ten nagi bezwstyd rozwydrzonej erotomanki gorszył tylko niektórych z pośród widzów. Większość śmiała się, widząc w tem pocieszny nadprogram?

Lilian zawsze przechodziła od słowa do rzeczy.

Przyzwyczaiła się bowiem zaspakajać wszystkie swoje zachcianki i kaprysy.

Niebezpieczeństwo zawisło nad poczciwym Donkundą. Jednej kobiety bał się więcej, aniżeli dziesięciu Niemców na froncie.

Uczciwie załatwiwszy się ze swoją częścią programu, Donkunda porozdawał na pamiątkę połówki złamanych monet i podków i podążył do siebie do drugiej klasy.

Lilian przegapiwszy moment jego zniknięcia, podbiegła do Gromeni i zaczęła coś mu szeptać zawzięcie na ucho, przewracając oczyma. Wyjęła z torebki garść zmiętych papierków i wepchnęła do kieszeni smokinga starego Włocha.

— Sobito, eccelenca, sobito! — obiecał komik i pomknął w ślad za Donkundą.

Spotkał go, wychodzącego z kabiny, by wejść pod odświeżający prysznic.

— Wróćmy do ciebie. Mam interes i to ważny! Wrócili.

— Donkunda, chcesz zarobić dużo pieniędzy?

— Poco Donkunda pieniądze? Donkunda ma wszystko od musze O'Donnel...

— Masz krewnych tam w Afryce?

— Mam... Dużo krewnych!

— Ot, widzisz! Chciałbyś zbudować wielki, wielki dom i żeby wszyscy twoi krewni nic nie robili?

— O! Tego Donkunda chciała!

— Wspaniale! Jesteś mądrzejszy, aniżeli myślałem... Otóż, przyjacielu, łatwo możesz zarobić.

— O! Tego Donkunda chciała!

— Bardzo łatwo. Widzisz, uważaj: pewna młoda, piękna Amerykanka — Gromenia oblizał się — tak, tak, bardzo piękna... zakochała się w tobie! No, i jako zakochana, naturalnie, rozumiesz, chciałaby spędzić z tobą noc...

— Nie, nie! Donkunda boi się kobieta!

— Donkunda dureń! Czemu boisz się kobiet? Z niemi tylko przyjemnie...

— Nie, ja powiedziała — nie!

— Więc nie chcesz zbudować wielkiego domu dla swoich krewnych? Nie chcesz być pierwszym człowiekiem u siebie w Senegalii?

— Chcę wielki dom! Donkunda chce być pierwszy człowiek!

— Więc słuchaj: przyjdę po ciebie równo za pół godziny. Czekaj na mnie! Odprowadzę cię do samych drzwi jej apartamentu i jeśli Donkunda będzie mądry i dogodzi młodej, pięknej Amerykance, rano otrzyma czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków na paryski oddział banku Morgana. Za trzy — cztery dni sam pójdę z tobą do banku na placu Vendome. Naturalnie, ty nie zapomnisz o biednym, starym Gromenii. Ty jesteś dobry, bardzo dobry. Ja ciebie od pierwszego wejrzenia polubiłem, jak rodzonego syna.

24 Noc białego i noc czarnego

Gromenia zaprowadził Donkundę do samych drzwi kabiny Lilian numer 243, wepchnął go i dobrą minutę czekał na korytarzu, ażeby wepchnąć Senegalczyka spowrotem, gdyby chciał sromotnie uciekać.

Żeby tylko wydostać czek!

W tym momencie z własnej kabiny nr. 266, leżącej nawskos, wyszedł Gafani, kierując się do kabiny nr. 253, zajmowanej przez królowę świń. Aferzysta zdążył przebrać się już ze smokingu i twardej nakrochmalonej koszuli w szare ubranie i jedwabną, odpowiednią do ubrania, koszulę.

— Jak pan się tu znalazł? — zauważył Gromenię — Pana kajuta znajduje się w innym korytarzu!

— Hm... ja... hm, zatrzymałem się, by zapalić papierosika...

— „Zapalić papierosika"! — powtórzył Gafani, węsząc — pachnie murzynem! Tu przed chwilą przeszedł Donkunda. Rozumiem!... A! stary stręczycielu! — zagroził komikowi — zajmuje się pan krzyżowaniem dwuch ras — białej i czarnej... Ile otrzymał pan za to od zwarjowanej Lilian? Wstydziłby się pan swoich siwych włosów.

— Panie Gafani, mnie... zdaje mi się, że... że „toga moralisty"... panu nie bardzo pasuje...

— Co? Won stąd!

— Idę, idę! — stchórzył Gromenia i zniknął za zakrętem. Nikogo nie było w pustym korytarzu ze światłami, zmniejszonemi na noc.

Gafani, nie pukając, wślizgnął się do kabiny madame Gonzales.

Nazajutrz królowa świń zbudziła się późno z bólem głowy, rozbita, ociężała na całem ciele. To nie był skutek miłosnych uniesień. Ot, zwykły prozaiczny ból głowy i taka sama prozaiczna ociężałość.

Romans z gwiazdorem nie wydawał jej się już tak kuszącym, tak nieziemsko pięknym...

Dwunasta godzina! Oh, żeby tylko zakończyć toaletę do śniadania!

Madame Gonzales, żona na poczekaniu upieczonego nuworisza, już od samego rana obwieszała siebie biżuterją.

Do dzisiejszego śniadania ograniczyła się do brylantowej kolii i kolczyków po szesnaście karatów każdy. Zato wieczorem do obiadu ona doda, rzecz oczywista, oprócz pierścionków, platynową, szeroką jak kółko do serwety, bransoletkę, całą pokrytą brylantami, oraz kolosalny indyjski szmaragd na cieńkim łańcuszku do noszenia na czole.

Na białem, czystem czole pięknej kobiety z wydłużonym owalem twarzy, taki szmaragd nadaje całej główce jakiegoś mistycznego wyrazu...

Mimo, że madame Gonzales miała niskie i szerokie czoło, a twarz okrągłą z zadartym nosem, nie wątpiła, że z tym szmaragdem jest niezmiernie podobna do tajemniczego bożka buddyjskiego...

Radując się z tego powodu, madame Gonzales, grubo nasmarowana tłustą, lśniącą wazeliną, przerzucała swoje preziosa w szkatułce na nocnym stoliku.

Lustro odbiło jej twarz, która zbladła nagle pod warstwą wazeliny...

Szmaragd i platynowa bransoleta — znikły...

A przecież wczoraj, rozbierając się po dobroczynnem przedstawieniu, w oczekiwaniu gwiazdora, włożyła do szkatułki te dwa przedmioty!

— Czyżby... Czyżby ten rycerz bez trwogi i bez skazy... Czyżby on?

Co będzie, jeśli mąż zauważy brak tych drogocenności, które kosztowały dwadzieścia tysięcy angielskich funtów?...

On przedwczoraj jeszcze zapytał, jakby żartując:

— Krystyno, chcesz, kupię u ciebie ten szmaragd. Nie dokuczył ci jeszcze?

Pod tym niby żartem ukryta była chęć zrobienia niespodzianki tej zwinnej, jak ją tam, no tej, która tańczyła w rogatym hełmie... Dureń, rozum stracił dla niej...

Madame Gonzales tak była zdenerwowana kradzieżą, że nie wyszła na śniadanie, zwalając wszystko na migrenę.

Z głową, mocno owiniętą w ręcznik, przeleżała cały dzień, myśląc wciąż, jak się to stało i jak odnaleźć skradzione rzeczy?

Idjotka... Czy można wierzyć pierwszemu lepszemu? Chociaż... Czy to „pierwszy lepszy"?

Ona dobrze pamięta, a raczej niczego nie pamięta, co było po tem, jak ona mu się oddała pierwszy raz. Dalej — ciężka mgła... zbudziła się — jego już nie było... Drzwi były niezamknięte..., Do kabiny mógł wejść, kto chciał. A czy wśród tych wyfraczonych dżentelmenów niema zawodowych bandytów?

Wieczorem, podczas tańców, Gafani z szacunkiem pocałował ją w rękę.

— Chciałabym z panem pomówić! — powiedziała ze zmęczonym uśmiechem na wymęczonej twarzy.

— Jestem do usług!

Siedli w jednym z salonów.

— Stała się wielka nieprzyjemność, wielka!...

— Co takiego?

— Zniknęły mi dwie drogocenne rzeczy!

— O! to wielka nieprzyjemność! Kiedy?

— Dziś w nocy.

— W takim razie to jest w zupełności moja wina!

— Pana wina?!

— Tak, moja... Pani spała tak słodko, tak spokojnie, gdy wychodziłem, że byłoby okrucieństwem panią budzić, by zamknęła za mną drzwi... I oto moja nieostrożność wykorzystał jakiś niegodziwiec. A propos, gdy wyszedłem, po korytarzu kręcił się jakiś dość podejrzany osobnik...

— Pewno, że trzeba było mnie zbudzić! Ale co robić, co robić, niech pan poradzi, błagam!

— Niech się zastanowię... Można byłoby wszcząć alarm, postawić na nogi całą administrację, ale boję się, że to może skompromitować panią, moja droga... Niech pani pomyśli o swej opinji zamężnej kobiety. A gdyby ten podejrzany osobnik, przyparty do muru zeznał, że widział wychodzącego od pani jakiegoś obcego, nie Gonzalesa... Co wtedy?

— Och, toby było straszne! — wyszeptała królowa świń, załamując ręce.

— Widzi pani!

— Więc cóż począć?

— Co właściwie ukradziono? Proszę szczegółowo opisać.

Opisała.

— Trzeba koniecznie cierpliwie czekać do Paryża. Już niedużo drogi zostało. Na pamiątkę naszej cud-

nej nocy, ofiaruję pani identycznie taki sam szmaragd i bransoletę... Mój jubiler przy ulicy de la Pau będzie napewno miał coś podobnego.

— Będzie miał?

— Nie wątpię...

— O, pan jest tak samo rycerzem w życiu, jak i na ekranie! — rozpływała się pani Gonzales, zawstydzona własnemi podejrzeniami.

— Niestety, teraz nie jest w modzie być rycerzem! — westchnął Gafani. — No, cóż? Uspokoiła się moja kruszynka?... Bardzo jestem rad! Słyszy pani? Czy nie przyciągają te czarowne dźwięki meksykańskiego tanga?

— Pociągają... Ale... chciałam jeszcze coś powiedzieć: jeśli spostrzeże się mój mąż i zapyta?

— Nie zapyta! — uśmiechnął się Gafani — Mąż pani jest czemś innem zajęty. I we śnie i na jawie majaczy mu się ten rudy „wamp.“ Wreszcie, powiedziałem przecież, że trzeba zaczekać do Paryża! Jeszcze tylko dwa dni! — powiedział Gafani, nieco już podrażniony, wstając.

Po drodze do meksykańskiego tanga, on dodał:

— Więcej nie spotkamy się tu, na okręcie, niebezpiecznie...

— Pan nie chce... Pan mnie nie kocha?

— I chcę i kocham... Ale nie mogę, nie mogę z obawy, by nie skompromitować panią. Nas obserwują. Ja dbam o opinję pani. Ale w Paryżu dogonimy stracone, moja droga laleczko!

Udręką było tańczyć z madame Gonzales, obracać ją, przeginać, samemu się przeginać.

Usadowiwszy swoją damę, rozgorączkowany, zmęczony podążył Gafani do sąsiedniego baru, gdzie odświeżył się jakimś chłodzącym napojem.

Ze szklanką w ręce, kiwając nogami, siedział na wysokim taborecie Gromenia. Był pijany. Na tyle pijany, że nie bał się Gafaniego. Alkohol zapędził strach przed tym człowiekiem gdzieś do dalszych zakamarków zajęczej duszy starego komika. I ten sam alkohol z tych samych zakamarków wyciągnął zaczajoną tam nienawiść za wszystkie przełknięte krzywdy.

I, kiwając nogami oraz w takt potrząsając szklanką, Gromenia rzucał prawie w twarz Gafaniemu:

— Moralista... moralista... moralista...

Gafani udał, że nie słyszy.

Wówczas Gromenia nabrał jeszcze więcej śmiałości:

— Chciałbym wiedzieć, ile temu moraliście zapłaciła za noc pewna pani?

Skandal wisiał na włosku. Tak samo wisiało na włosku „dobre imię“ Gafaniego. Jeszcze kilka słów pijanego Gromeni i Gafani zginął! Dwa lub trzy kroki dzieliły ich od Gonzalesa.

Ale na szczęście dla Gafaniego, młody Viliagas podszedł do Gromenii i zaczął o czemś z nim mówić.

Włoch miał zwyczaj pić ponad miarę, tym razem nawet na własny rachunek.

Dziś wcześnie rano odwiedził Donkundę, który przespał swoją godzinę, i długo go tarmosił i szamotał:

— Zbudź się, już późno... Dość tego wylegiwania się, nierobie! O, santa Maria, to nie człowiek, a jakaś czarna kłoda!...

Senegalczyk przetarł oczy, ziewnął sobie po bohatersku i jako tako ze świata znów wrócił do trzeźwej rzeczywistości.

— Dała czek?

— Dała.

— Gdzie jest?

— Donkunda myśli... w tych... w spodniach...

— To bydlę myśli... jak się wam podoba... myśli! Szukaj go, szukaj! — zdenerwował się Gromenia.

Donkunda ziewnął jeszcze raz, podjął z dywana spodnie, pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął zmięty papierek:

— O!

Gromenia wyprostował zmięty czek i przebiegł oczyma.

— Wszystko w porządku... Ewwiwa!... Wspaniała myśl! Można tu zmienić w oddziale banku...

— Nie trzeba tu... Donkunda będzie wstyd...

— Też głupstwa... Wcale nie wstyd! Nie mieć pieniędzy — to wstyd!... Ile mi dasz z tego?

— Ile musze chciała?

— Podług prawa dziesięć procentów: to wyniesie dwadzieścia pięć tysięcy franków... Zgoda?

— Dobrze.

— Nie zawiodłem się na tobie, Donkunda! Morowy z ciebie chłop. I mądry! Rozumiesz: gdybym nie ja, tybyś nic nie miał... A teraz, teraz powiedz mi...

Wyblakłe oczy Gromenii zaiskrzyły się. Odczuwając własną niemoc, stary śpiewak podniecał się opowiadaniem innych mężczyzn, silniejszych i młodszych...

— Powiedz mi, coś ty robił z tą zwarjowaną babą?

— Donkunda nic... Ona wszystko!...

— Cóż ona robiła?

— Ona zła!... Ona kąsał Donkunda, drapał... O! — i Senegalczyk odwrócił palcami dolną wargę, która napuchła, zapiekła się. Widoczne były ślady zębów.

— Co za afrykańskie namiętności! — pokiwał głową Gromenia.

— I tu! — Donkunda pokazał czarną pierś pełną podrapań, ugryzień i zapiekłej krwi.

— Tak! I to wszystko? A co jeszcze?

— Nic!

— Ach ty bawole bezuczuciowy! Nawet opowiedzieć jak należy nie możesz!... Ale, koniec końców, najważniejszy jest czek: pójdę zmienić...

25 Grymas śmierci

Lodowata zawartość kielicha oślepiła na chwilę Barbasana i wywołała w jego oczach dotkliwy ból. Jak ostre cięcie batem.

Podczas gdy Barbasan przecierał oczy, Ammałat szybkim ruchem podniósł rewolwer, który wypadł marszałkowi z ręki, drugim — silnie pociągnął Barbasana za włosy ku ziemi.

Otyły marszałek padł na czworaki. I nie zdążył chwycić się rękoma jakiegoś punktu oparcia, gdy głowa jego znalazła się w żelaznych kleszczach.

Ammałat zacisnął ją między swojemi kolanami, kolanami stepowego kawalerzysty, które od najmłodszych lat przyzwyczaiły się opanowywać najdzikszych, nieosiodłanych rumaków.

Nikt nawet opamiętać się nie zdążył, jak ceremonja egzekucji zamieniła się w tragikomedję.

Benau, Brodzki. gdzie jesteście?!...

Skazany na śmierć stał w wyzywającej pozie z rewolwerem, gotowym do strzału, a marszałek polny w złocie i galonach, przy orderach i gwiazdach, bezsilnie ugrzązł w bardzo nieestetycznej pozie, poniżającej i śmiesznej, u nóg „skazańca“....

Niby srogi ojciec, kolanami przytrzymujacy za głowę niegrzecznego syna, i naskiem aplikujący wymiar sprawiedliwości w miękkie części.

Na dobitek spodnie pękły na tłustych „miękkich częściach“ Barbasana, skąd przeświecała jedwabna bielizna koloru ciała...

I maître d'hotel z pustą tacą, i adjutant z szablą i czapką marszałka, i dwunastu gwerillasów śmierci z opuszczonemi karabinami, i publiczność, która bynajmniej nie spodziewała się takiego widowiska...

Martwa cisza zapanowała wokół...

Wyraźnie było słychać ciężkie rzężenie Barbasana, który tracił przytomność, na skutek silnego dopływu krwi do głowy, mocno zaciśniętej między silnemi nogami kawalerzysty.

Teraz Ammałat był spokojny. Podniecenie ostatnich chwil minęło, zastąpione podnietą zwycięstwa. On widział, że to jest tylko chwilowe odroczenie, że pozostały mu tylko minuty, ale za to jakie wspaniałe minuty...

Żadna kula w rewolwerze nie powinna pójść na marne! Przedostatnią przeznaczył dla Barbasana, ostatnią dla siebie. Czy żegnał się z życiem ktokolwiek tak dumnie i pięknie?..

Pierwszy oprzytomniał adjutant.

Rzuciwszy na bok przeszkadzającą mu czapkę marszałka i wyrwawszy z pochwy szablę Barbasana, adjutant z podniesioną szablą rzucił się na Ammałata. Błysk ognia, krótki trzask i adjutant padł, potknąwszy się. Szabla zabrzęczała i podskoczyła dwa razy na kamiennych płytach dziedzińca więziennego.

Nie czekając, aż minie wrażenie pierwszych chwil, Ammałat rozkazującym głosem oficera, który przyzwyczaił się podawać komendę, krzyknął do guerillasów śmierci:

— Rzucić karabiny i marsz stąd!

Guerillasi nie odrazu posłuchali. Powstało wśród nich pewne zamieszanie i wahanie... Dwaj najśmielsi próbowali zmierzyć się do Ammałata z karabinów. Jeden z nich zdążył nawet wystrzelić. Kula gwizdnęła nad głową Ammałata i rozpłaszczyła się o mur, zasypując Chana odłamkami. To był ostatni strzał w życiu guerillasa. W odpowiedzi otrzymał strzał prosto w serce. Padł, a reszta rzuciła się do ucieczki.

Powodzenie podnieciło Ammałata, pobudzając go do wesołości, która była dla niego „kielichem szampana", tryśniętym w twarz Barbasanowi. Marszałek nadal pozostawał w upokarzającej pozie...

Czując siebie panem położenia (czy na długo?), Ammałat postanowił poigrać sobie z tymi, którzy obecnie zastygli w strachu, a którzy tak pędzili na atrakcyjne widowisko — egzekucję!

— Hej, wy tam! — krzyknął. — Uwaga!

Skierowawszy rewolwer w stronę najbliższego stolika, Chan długo i uważnie celował, jak na strzelnicy szkolnej. Kula roztrzaskała na kawałki flaszkę, nie zadrasnąwszy nawet trzech kobiet i jednego mężczyzny, siedzących przy tym stoliku. Wszyscy czworo pospadali z krzeseł!...

Ale to jeszcze nie był ostateczny sygnał do ucieczki.

Jak zaczarowana pozostała tłuszcza ludzka na swoich miejscach, mimo, że otrzeźwienie już przyszło. Nikt nie miał odwagi poruszyć się nawet. Każdemu się zdawało, że gdy się tylko poruszy, ten świetny strzelec położy go trupem.

Cisza. Jeszcze bardziej złowroga, jak na początku.

Teraz już nawet rzężenie Barbasana nie mąciło ciszy. Zemdlał.

Ammałat zmniejszył nacisk swoich kolan i marszałek polny opadł twarzą na kamienie.

Chwilę wesołości Ammałata, zastąpiło zniecierpliwienie oczekiwania.

Jeszcze jedna minuta, dwie...

Perejra, którego tu nie było, i guerillasi śmierci wrócą z posiłkami i... stanie się nieodwołalne!

Ale najstraszniejszą rzeczą była zmiana uczuć w samym Chanie. O ile szedł na rozstrzelanie spokojnie i rzeźko, o tyle teraz niewypowiedzianie bał się śmierci, niewypowiedzianie chciał żyć!

I nagle te posępne myśli rozjaśnił mimowolny uśmiech. Dopiero teraz Chan zauważył, że w pobliżu stał nadal, zamrożony w panicznym strachu, maitre d'hotel z próżną tacą. Zupełnie figura z wosku. Tylko szczękanie zębów lokaja zdradzało w nim życie.

A za wysokiemi murami więzienia, tam w porcie wyją syreny okrętów...

Tam — codzienna rzeczywistość, życie pulsuje, a tu — człowiek, skazany na stracenie, chce o kilka chwil przedłużyć swoje życie i... przed własną śmiercią, uśmiercić strasznego wroga.

— Jesteś wielki i mądry Allachu, ty wszystko widzisz, wszystko... Każde ziarnko piasku, któremu na imię Człowiek...

Ta-ta-ta, ta-ta-ta-ta...

Najpierw nieśmiało, potem coraz gęściej, gęściej... Karabiny maszynowe...

Wprawne ucho Chana Mugańskiego poznało karabiny maszynowe systemu Hotchkisa, które posiadała kordulska kawalerja, jego kawalerja, przez niego stworzona...

— Cóż to?

Jakby w odpowiedzi na pytanie i na trzask karabinów maszynowych posypały się strzały karabinów ręcznych pojedyńczo i salwami...

Teraz już niema żadnych wątpliwości: nowe powstanie! Oddziały Barbasana bronią ministerstwa wojny, urzędu pocztowego, telefonów, dworca, pałacu prezydenta... Powstańcy atakują...

Gwałtowne krzyki pod samą bramą twierdzy.

Kilka wystrzałów, poczem niewielki oddział oficerów wtargnął na dziedziniec więzienny.

Na przedzie, z okrwawioną szablą, porucznik Diatz.

— Gdzie Barbasan? — krzyczy Diatz. — Dajcie nam Barbasana!

— Jest tu, weźcie go! — odezwał się Ammałat.

Po kilku sekundach, Diatz, zziajany, z rozpaloną twarzą, ściskał rękę Ammałata:

— O, wasza wysokości... Kamień z serca spadł... Ale, chwała Bogu, zdążyliśmy w porę... Myśl, że spóźnimy się... Można było zwarjować... I tak jesteśmy warjatami! Jakie szczęście... Ale, gdzież jest Barbasan?

— Tu leży! — pokazał Ammałat na leżącą koło jego nóg, jak zdobycz myśliwska, do góry podobną turzę Ammałata.

Kwadrans temu był dyktatorem, a teraz...

Teraz porucznik Diatz kopnął go nogą...

— Wstawaj, podły krwiożerczy tchórzu! Alboś już zdechł ze strachu?

Próbując wstać, Barbasan bąknął coś niezrozumiałego...

— A, niegodziwcze, ty jeszcze żyjesz! Tem lepiej, będziemy mieli kogo powiesić! A tymczasem, — Diatz odwrócił się i ujrzał posępną postać Barradasa, jedynem okiem obserwującego marszałka polnego w prochu, — a tymczasem, — kontynuował Diatz, — ty, Barradas, czujący zdobycz, jak stary jastrząb, zamknij dobrze tę padlinę do tej samej celi, w której siedział Chan Mugański... Wiemy, jak odnosiłeś się do jego wysokości... Wszystko wiemy i czeka cię nagroda... Dalej, przyjacielu, wywlekaj stąd to półmartwe ciało...

Barradas miał swój sposób cucenia ludzi.

Odwróciwszy Barbasana twarzą do góry, silnie zacisnął jego nos między wskazującym palcem a średnim i trząsł tym nieszczęsnym nosem z boku na bok razem z głową...

— Co ty robisz? — zapytał oficer.

— Oświecam marszałkowski mózg, — odpowiedział Barradas.

I, rzeczywiście, Barbasan ocknął się, przejrzał, wstał i, nie mając nawet odwagi prosić o litość, posłusznie ruszył, potrącany przez Barradasa, trzymającego go z tyłu za złocony kołnierz.

Barradas był niewzruszony. To nie pierwszy dyktator, którego w ten sam sposób prowadził do więzienia...

Jakże nie stać się filozofem po tem wszystkiem?

Oficerowie śpieszyli na wyścigi do Ammałata, by wyrazić mu swoją najżywszą radość i wierność.

I wszyscy, jak jeden, mówili to samo, co Diatz:

— Ach, jak śmiertelnie baliśmy się opóźnienia, wasza wysokości...

Wszyscy mieli twarze opromienione radością zwycięstwa.

Ciąg dalszy na str. 719.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Jesienne słońce" — „Hiacent" — „Samotna Kukułka" — „Szara Dziewczynka II." — „Smutna Kazieńka" — „Jasne Słoneczko" — „Czarny Saturn" — „Kryształek".

CZERWONE RÓŻE

Posyłam tobie ten czerwony dar,
tęczą rozbłysły — po przelotnej burzy —
niech ci wywróżą swoją skrytą myśl
— czerwone róże.

To — czego pieśnią nie dośpiewałem
czego pragnąłem, co umiłowałem —
niech tobie wszystko darem swem
wywróżą
czerwone róże.

Jeśli spostrzeżesz na gałązkach kolce...
wiedz, że nie można żyć samym zachwytem
lecz drogą cierni... — trzeba wytrwale
piąć się do szczytu.

Posyłam tobie ten czerwony dar,
choć nie wiem czem się tobie dziś
przysłużę —
może wspomnienie zbudzą w sercu twem
czerwone róże.

Pomyślisz nad tem co się już skończyło,
Co nie powróci — co trwało tak krótko,
że zliczyć nawet tych dni nie warto,
szczęściem i smutkiem...

Że winną temu była może jesień,
a może wiosna... czy spóźnione lato
nic nie pamiętam... niech o mnie powiedzą
zasłane kwiaty.

Wiem kiedy zwiędną urokiem zapomnienia —
lecz wpierw rozwiną swe drobne pąkowie
a potem zgasną
wiesz, tak nieświadomie —
czemu —
nie pytaj
— nigdy się nie dowiesz.

Posyłam tobie ten czerwony dar,
niech szmaragdowe listeczka wywróżą,
czego pragnąłem, co umiłowałem —
to — czego pieśnią nie dośpiewałem —
Posyłam tobie ten czerwony dar...
— czerwone róże.

J. Baranowski.

WYJAŚNIENIE

„Miły Szatyn". Zdjęcie, zamieszczone w numerze 31 „Moich Powieści", nie przedstawia czytelniczki naszego czasopisma. Jest to fotografia jakiejś gwiazdki filmowej.. Chyba nie będzie Panu przykro, że domysły Pana były tak dalekie od prawdy?

Listy, zgodnie z życzeniem, wysłałam. Serdecznie pozdrawiam i proszę Pana o dalszą pamięć.

„CHCIAŁABYM KOMUŚ SMUTNEMU ZAŚWIECIĆ..."

„Jesienne Słonko". Do „Krainy" zajrzało „Jesienne Słonko" i poczęło się skarżyć:

„W życiu spotkało mnie już dużo utrapień, smutku i zawodów, ale mimo wszystko chciałabym jeszcze komuś, równie smutnemu, jak ja, zaświecić. Niechaj więc piszą do mnie wszyscy, którzy wierzą jeszcze w miłość, przyjaźń i przywiązanie. Z dnia na dzień oczekuję pierwszych, radosnych jaskółek — listów od Sympatyków „Krainy".

NIE POCIESZAM TYLKO UKAZUJĘ LEPSZE PERESPEKTYWY NA PRZYSZŁOŚĆ

„Eros". Zmiana przydomka zdziwiła mnie trochę. Dlaczego tak nagle? — czyżby naprawdę w grę wchodził konwenans, czy tylko zapragnął Pan trochę odmiany w rzeczach, które powtarzały się zbyt często?...

Nasza zabawa w ciu-ciubabkę zaczyna być naprawdę interesującą, tem więcej, że przedłuża się z miesiąca na miesiąc.

Nie powiodło się Panu w wyczynach sportowych i z tego powodu prosi mnie Pan o pocieszenie. Jestem w dużym kłopocie, bo żąda Pan ode mnie tak wiele... Być pocieszycielem tam, gdzie w grę wchodzą ambicje sportowe, to naprawdę zadanie ponad siły. Osobiście wolę Panu ukazać lepsze perespektywy na przyszłość: napewno osiągnie Pan jeszcze niejedno zwycięstwo, jednak w tym wypadku tylko, gdy stać będzie Pana na wytrwałość i prawdziwą, szlachetną ambicję sportowca.

Nadesłane przez Pana łamigłówki — zostaną kolejno zamieszczone. Książkę — wysłaliśmy.

Na zakończenie jeszcze kilka słów Pana:

„Serdeczne pozdrowienia ślę: „Kunie Leśnej" — „Szarej Dziewczynce z Bydgoszczy" — „Królewnie Mary" — „Zrozpaczonej Maryli" — „Starej Pannie" i równocześnie dziękuję za pozdrowienia „M. Rysi" i zapytuję Ją dlaczego nie dotrzymała słowa. Czy listu nie odebrała?"

RADOSNA NIESPODZIANKA

„Puer". List Pana był dla mnie radosną niespodzianką, bo znalazłam w nim częściowo własne myśli i zapatrywania. Do „Krainy" wpływają setki listów, bardzo miłych i kochanych, natomiast listów treściowo pogłębionych odbieram stosunkowo mało. I dlatego zapewnie cieszę się tak ogromnie, gdy napotykam na „perłę" — list, w którym mieści się dusza szlachetnie myślącego człowieka.

Dziękuję Panu i za ten piękny list i za miłe zdjęcie z wakacyj, oraz ślę Panu bratni uścisk dłoni.

Dopisek zamieszczam:

„Halo! „Lilko"! Jaki wynik omawianego poszukiwania? Bardzo dziękuję za pozdrowienia i łączę ich również moc".

„PRAGNĘ PODYSKUTOWAĆ NA RÓŻNE TEMATY"

„Psychoanaliza". Z prawdziwą radością przyjmuję Panią do „Krainy" i pragnę, aby znalazła Pani w naszym gronie tego „kogoś", o którego chodzi Pani w liście.

„Chciałabym korespondować z osobą poważną, głęboko myślącą, z którą mogłabym podyskutować na różne tematy. Pomimo, że jestem jeszcze młodą, życie dało mi już dużo doświadczeń, ale — nie narzekam. Dobrze mi z mojemi cichemi smutkami — nie uginam się, chociaż czasem jest mi tak ciężko! Może napisze do mnie, ktoś z Bydgoszczy? Naturalnie i innych proszę o to samo — odpowiem napewno. Ślę pozdrowienia „Erosowi" i „Narcyzowi". Może napisze do mnie „Milena"? Listy proszę kierować na poste — restante, Bydgoszcz, pod: „Psychoanaliza".

(Ocenę wierszyków znajdzie Pani w następnym numerze w „Teczce Wujka Janusza").

DLACZEGO?

P. M. D. z Legjonowa. Listy wysłałam! Dlaczego ograniczył się Pan tylko do przesłania kilku słów? — czy nie pociąga Pana bliższy kontakt z „Krainą"?

Za pozdrowienie dziękuję i ślę ich Panu również moc.

„CZY ZGODA?"

„Wesoły Słowik". Do „Te — Em" radzę Pani zwrócić się bezpośrednio, gdyż w naszym sympatycznym kąciku, nie chciałabym zamieszczać podobnych wzmianek. Dalszą część liściku Pani zamieszczam bardzo chętnie, bez jakichkolwiek zastrzeżeń:

„Pozdrawiam serdecznie wszystkich Sympatyków „Krainy". Osobno „Dzidzi z Torunia" którą bardzo proszę o miły liścik. Za pośrednictwem „Krainy" pozdrawiam także P. Stefcię z Torunia. Poza tym proszę wszystkich Sympatyków z Torunia o nawiązanie ze mną korespondencji. Czy zgoda?"

LIST Z TAJEMNICZYCH BORÓW TUCHOLSKICH

„Jur". „Miałbym Pani dużo do powiedzenia i z chęcią przesłałbym Pani od czasu do czasu kilka amatorskich zdjęć"...

Czekam, Panie „Jurze"! Proszę pisać bez skrupułów — szczerze i obszernie, a ucieszę się ogromnie.

Do „Krainy" przyjmuję Pana. List Pana przeczytają sobie chętnie napewno i inni, więc zamieszczam go niżej:

„Chociaż w borach tucholskich jest tajemniczo i pięknie, to jednak odczuwam potrzebę jakiejś życzliwej duszy. Może ją znajdę w „Krainie"? — ucieszyłbym się bardzo! Utartym zwyczajem przedstawiam się całemu gronu Sympatyków:

Jestem młodym mężczyzną i podobno bardzo sympatycznym. Życia nie lękam się, bo je poznałem i nabrałem hartu. Tyle o sobie!

„Danko"! O ile wyrazisz swoją zgodę chętnie napiszę do Ciebie i wleję, o ile oczywiście mi się uda, w serduszko Twoje trochę nadziei.

„Smutna Sztubaczko"! Może mi pozwolisz do siebie napisać? Spróbuję Cię pocieszyć i oderwać od czarnych myśli".

POZDROWIENIA

„Dziewczę z krainy burz". Dzisiaj daję Pani odpowiedź na łamach „Krainy". Przed chwilą przeczytałam jeszcze raz Pani liścik i pod wrażeniem sympatycznych słów Pani, ślę jak najserdeczniejsze pozdrowienia Pani oraz wszystkim poznanym w Grabowie osobom. Specjalną, obszerniejszą odpowiedź prześlę Pani w najbliższych dniach.

A teraz kilka słów od Pani:

„Dziękuję „Wesołej Mariecie" oraz „Bajce" za przesłane mi pozdrowienia.

Hallo! „Medyku ze Lwowa"! Dziękuję Panu za zainteresowanie się moją osobą, jednakże korespondencji z pewnych względów z Panem prowadzić nie mogę. Serdecznie pozdrawiam".

CHĘTNIE PRZEŚLĘ PANI SŁOWA OTUCHY

„Wa — La". Przesyłam Pani w dalekie strony jak najserdeczniejsze pozdrowienia i uściski. Tęskno Pani i smutno wśród ludzi obcych, proszę więc, niech Pani pisze do mnie jak najczęściej, a chętnie prześlę Pani słowa otuchy. Przyrzekła mi Pani opisać okolice, w których obecnie zamieszkuje, a więc czekam na wypełnienie obietnicy. Tymczasem zaś zamieszczam część Pani listu:

„Hallo! „Biała Uajali"! Czy mogłabyś mi napisać, co u Ciebie słychać i gdzie obecnie przebywasz?

„Stachu z pniewskich błot"! Dlaczego tak uporczywie milczysz? Czekam nadal...

Załączam miłe pozdrowienia dla „Tereni z pod Wrześni" — „Lu" — „Miłośnikowi kobiet" — „Samotnemu Romowi" — „Człowiekowi z ludu" i „Pustelnikowi z zaklętego ogrodu". Może która z wymienionych osób skreśli do mnie parę miłych słów i rozjaśni moje samotne, pustelnicze życie?...

(Numery „Moich Powieści" z maja i czerwca może Pani nabyć w naszej administracji po uprzednim nadesłaniu 2,00 zł.)

CZY POSŁUCHA MNIE PANI?

„Dziwna Zosieńka". List Pani powiedział mi bardzo dużo. Między innemi i to, że jest Pani nieco przeczuloną osóbką i zbyt często poddającą się smutnym nastrojom. Pragnę Panią z tego wyleczyć, dlatego usilnie Panią zachęcam do wypowiedzenia wojny wszelkim smutkom i nastrojom. Musi Pani koniecznie zmienić swoją słabą naturę i wykreślić z niej to, co niepotrzebne i szkodliwe. Powoli, wytrwale a osiągnie Pani należyty rezultat i nie będzie Pani zasługiwała więcej na miano „dziwnej", ale dzielnej i trzeźwej kobiety. Czy posłucha mnie Pani? Chyba tak!

Część listu Pani, przeznaczoną dla Sympatyków, zamieszczam:

Hallo! Czy któraś z Pań lub Panów mógłby mi przesłać słowa z „A ja jaj" — Eris Frida, lub słów aryj z opery — „Poławiacze pereł"?

„Ninę w średnim wieku" zapytuję, czy nie zechciałaby nawiązać ze mną korespondencji, pomimo, że posiadam dopiero 17-cie lat.

„Kusząca Różyczko"! Może napiszesz do mnie bo mnie jakoś brak odwagi, by przełamać, pierwsze lody. Ślę Ci dużo uścisków i pozdrowień!

Hallo! Chełmża! Ciociu Wendorff — ślę dużo, dużo całusów. Jak się czuje Stefuś? Czy domyślasz się, Ciociu, kto przesyła Ci pozdrowienia?"

NIE GNIEWAJ SIĘ...

„Słodkie Serduszko". Nie gniewaj się, proszę, na mnie, Miła Dziewczynko, że pozwoliłam Ci dość długo czekać na odpowiedź. Wina nie leży zresztą po mojej stronie, ale po stronie listów, które napływają codziennie i tworzą olbrzymi stos na biurku redakcyjnym. Każdy taki liścik wymaga odpowiedzi, żadnego nie wolno mi ominąć i stąd wypływa oczekiwanie Sympatyków na odpowiedź.

Przede mną leży Twój ostatni liścik, w którym opisałaś tak szczerze i obszernie historję swoich przeżyć. Niewesołe one były, ale pomimo to nie poddałaś się ani goryczy, ani zniechęceniu. Cierpliwie i ufnie zniosłaś wszystkie cierpienia i oto teraz po latach, gdy już wszystko jest poza Tobą, uśmiechasz się do życia zadowolona, że do ostatka wypełniłaś swoje obowiązki i dziękujesz Bogu, że nie upadłaś na duchu, gdy było ciężko i źle. Na dowód szczerej sympatji przesłałaś mi także fotografję. Dziękuję! Tę fotografję i ten list schowam sobie do teczki, w której gromadzę najmilsze listy i fotografje moich Sympatyków. A teraz kończę już odpowiedź i ściskam Ci, Droga Dziewczynko ręce. Napisz znowu — czekam!

Jeszcze nie wszystko: „Słodkie Serduszko" pozdrawia „Tajemniczą Królewnę" — „Smutnego Stefa" i „Marzycielskiego Bruneta".

PODYSKUTUJMY

„Lawrence". Miłe są dla mnie te „gawędy" Pana, dlatego listy Pana darzę szczególną sympatją i pragnę, aby przychodziły jak najczęściej.

Poza tym jestem Panu wdzięczna za to, że próbuje Pan wnieść do „Krainy" nieco odmiany i urozmaicenia przez wprowadzenie krótkich, dyskusyjnych notatek. Oto pierwsza z nich:

„Chciałbym bardzo, aby „Kraina" ożywiła się przez wspólne urabianie myśli w dyskusjach, dlatego też poddaję dzisiaj polemice następującą notatkę:

W jednym z numerów „Moich Powieści" poświęciła „Dzinka" kilka słów korespondencji. Otóż zgadzam się z Nią, że pewna grupa Sympatyków i Sympatyczek nie docenia, wzgl. bagatelizuje sprawę rycerskości w korespondencji. Podobna opinja jednak, zastosowana wobec całości, byłaby rzucającą się w oczy krzywdą, zwłaszcza dla tych Sympatyków, którzy nie odpowiadając na jakiś list, mają w tym bardzo wiele słuszności. Bo proszę zważyć, że są wypadki, gdzie winę ponoszą bezwzględnie osoby wysyłające listy. Ton ich korespondencji jest albo wysoce obraźliwy, albo zbyt narzucający się, względnie sympatje swe kierują w stronę dla nich zupełnie nieodpowiednią. To też nic dziwnego, że nieraz brak chęci, by na podobny list odpowiedzieć. Natomiast jeżeli chodzi o listy rozsądne i konsekwentne, to napewno zawsze przynoszą one dobre rezultaty dla osób wysyłających je. Zresztą zapraszam wszystkich Czytelników „Krainy", by wyrazili swoje pro i contra w tej sprawie..."

KIEDY ZNOWU NAPISZESZ?

„Ryśka D." Zamieszczając wierszyk „Nenufary" miałam na względzie to, aby ci zrobić, „Rysiu", przyjemność, no i jak widzę z Twego listu, cel w pełni osiągnęłam. Dziękuję Ci, Kochanie, za wszystkie milutkie słowa, skierowane pod moim adresem i ślę Ci siostrzane uściski. Kiedy znowu, moja maleńka Dziewuszka, napisze do mnie?

Kilka słów, przeznaczonych dla miłośników „Krainy" zamieszczam:

„Szarej Dziewczynce" — ślę ucałowania i pozdrowienia.

„Łobuzowi z pod ciemnej gwiazdy" — ściskam dłoń i proszę go o kilka słów.

„Smutną Sztubaczkę" — pozdrawiam i obiecuję Jej przesłać wkrótce długi list.

„Jadźce z Kujaw" — ucałowanie i uznanie za piękne wierszyki.

„Nieznanej Zośce" — moc pozdrowień i zapytanie czy mieszka obecnie w Warszawie i posiada siostrzyczkę Halę.

„Tancerza" — proszę o liścik".

ZAŁATWIŁA ADMINISTRACJA

„Maryś". Pretensje Pani załatwiła administracja. Jak najuprzejmiej dziękuję Pani w imieniu naszego wydawnictwa za chęć szerzenia naszych czasopism wśród swoich znajomych, oraz serdecznie Panią pozdrawiam.

DZIĘKUJĘ!

„Szczęsny". Pozdrowienia z Warszawy — odebrałam. Dziękuję w imieniu zespołu redakcyjnego i swojem!

W WIERSZACH BRAK RYTMU

„Stęskniona Ukrainka". W ostanio nadesłanych przez Panią wierszach jest dużo szczerego uczucia i ujmującej prostoty, ale jeszcze brak rytmu. Wytrwania i dużo silnej woli, „Stęskniona Ukrainko", a wszystko będzie dobrze!

Załączone przez Panią pozdrowienia dla „Marzyciela" i p. E. Makowskiego — bardzo chętnie przekazuję. Żegnam Panią miłemi pozdrowieniami i uściskami.

„PRAGNĘ I JA NALEŻEĆ DO „KRAINY..."

„Rafał". Witam Pana serdecznie w progach „Krainy" i chętnie pośredniczę Panu w nawiązaniu korespondencji, t. zn. list Pana zamieszczam i polecam Pana łaskawej pamięci milutkich Sympatyczek „Krainy".

„Pragnę i ja należeć do „Krainy", więc proszę o przyjęcie. Według utartego zwyczaju przedstawiam się:

„Jestem ciemnym blondynem, średniego wzrostu. Charakter posiadam niezwykle przedsiębiorczy. Chciałbym poznać jakąś życzliwą osobę...

Zainteresowałem się ogromnie „Śnieżyczką". Przesyłam Jej serdeczny uścisk dłoni. Moc pozdrowień — Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy".

KTO WYPOŻYCZY NUTY?

„Tamara" przesyła serdeczne podziękowanie za nadesłane pozdrowienia: „Małej Konwalijce" — „Słodkiej Psyche" i „Blondynkowi z Pałuk". Równocześnie prosi wszystkich z „Krainy", którzy interesują się muzyką, ażeby Jej wypożyczyli z łaski swej nuty na fortepian, szczególnie tanga. Za przysługę postara się odwdzięczyć.

APEL Z NAD BAŁTYKU

„Mary" i „Ryś" to dwaj koledzy. Mieszkają nad Bałtykiem. Oprócz pracy „nic ich żywiej nie absorbuje, więc zapragnęli znaleźć nieco odmiany w korespondencji. W tym też celu nadesłali następujący apel:

„Hallo! Pragniemy zapoznać się bliżej z Sympatyczkami „Krainy".

W pierwszym rzędzie przedstawiamy się:

„Ryś" ma lat 25. Poza tym obydwoje posiadamy ciemno — blond włosy, niebieskie oczy, i wesołe usposobienia.

Przesyłamy miłe i serdeczne pozdrowienia z nad Bałtyku i czekamy na pierwszy liścik".

ŻYCZENIU CZYNIĘ ZADOŚĆ

„Rudi". List wysłałam. Życzeniu Pana czynię zadość i przesyłam Panu moc pozdrowień.

DLA „BAJKI"

P. S. Sz. z Swarzędza przesyła „Bajce" kilka słów:

„Bajko"! Dlaczego nie otrzymałem od Pani na ostatni list odpowiedzi? Proszę raz jeszcze o odpowiedź!"

SAMOTNOŚĆ

„Samotne Serduszko" pisze: „Jestem blondynką o niebieskich oczach. Lubię bardzo marzyć i posiadam bardzo uczuciowe serce. Mieszkam na wsi i czuję się zupełnie samotną. Może która sympatyczna osóbka napisze do mnie? Może „Narcyz" lub „Niesympatyczny Ed." zainteresują się mną, gdyż jak wywnioskowałam z ich listów, dokucza im samotność podobnie, jak i mnie?"

ODPOWIEDŹ NA RADOSNY LIŚCIK

„Iga Czarnobrewa". Jesteś słodką i promienną dziewczynką, „Igo" — nie mogę się oprzeć, aby Ci tego po ostatnim liście nie powiedzieć. Przysłałaś mi tyle dobrych słów, że chciałabym Cię wziąć w ramiona i z wdzięcznością uściskać.

Młodość i Radość to Ty, „Igo". Pogoda Twego liściku jest wprost uderzająca, po listach, pełnych żalu, i cichego smętku, niezaspokojonych nadziei i chmurnych marzeń. Obok „Maleńkiej Dzidzi" jesteś w „Krainie" drugą Sympatyczką, która potrafi wzruszać młodzieńczością i pogodą. Żegnaj i napisz znowu... Skowronku!

Teczka Wujka Janusza

WIERSZA NIE MOGĘ ZAMIEŚCIĆ

P. Arkadjusz V. z T. Dawno już nie otrzymałem tak dziwnego wiersza, jak ostatnio od Pana.

Piękno i Dobro, zakute w marmury,
stygły jak szampan i potem kontury
jakiejś ruinie stroiły na dudka. —
— Sztuko! — pająk cię swą kulturą utka,
a tak zmotaną nazwią cię — pamiątki; —
— potem entuzjazmem wewrzeszczą w te
pogruchotanych amorków pyzatych [szczątki
i poetyczne wszechuczucia kwiaty,
ścieląc pod nogi beznamiętnych głazów,
Zrobią kulturę kamieniom — ołtarzom.

Powyższej zwrotki, wyjętej z Pańskiego wierszyka, nie rozumiem zupełnie. W wierszu musi być przecież jakiś sens, jakaś harmonia — splot kilku wzniosłych i błyskotliwych słów, okraszonych rymami, to jeszcze nie wiersz — chyba przyzna mi Pan rację? I zrozumie, że nadesłanego wiersza, w żadnym wypadku nie mogę zamieścić, gdyż byłoby to zaprzeczeniem tego, co zwykle głoszę, mianowicie, że w wierszach powinno być zawsze dużo prostoty.

Przesyłam Panu serdeczny uścisk dłoni i czekam na echo mej odpowiedzi.

WIERSZE BARDZO SŁABE

„Kostek z Wołynia". Utwory Pana mogę nazwać jedynie — lichem rymotwórstwem.

Pójdziem za miasto, bo tam jeszcze lato,
Bo tam jabłka czerwone zrywa tato
I jesienne płaczą się mgły...

Z podobnych niedorzeczności składają się Pańskie wiersze. Trudno! — nie mogę ich potraktować po ojcowsku. Jedynie Panu mogę służyć ojcowską radą, t. zn. natchnąć Pana do żywszego zainteresowania się takiemi dziedzinami, które nie mają nic wspólnego z poezją. To przyniesie Panu więcej zadowolenia, bo jeżeli chodzi o poezję, to nie może Pan nawet „sobie i muzom śpiewać".

Proszę, niech Pan zastanowi się dobrze nad tem, co powiedziałam, a przyzna mi niewątpliwie rację.

Za nadesłane pozdrowienia odwdzięczam się silnym uściskiem dłoni.

BRAK RYTMU, A NAWET RYMU

„Pepi". W wierszach Pani jest wielka bezpretensjonalność, która wprost chwyta za serce. Ale to mało! Bo zlekceważyła Pani zupełnie rytm, a nawet rym. O ile uda się Pani wierszyki poprawić, zamieszczę je z całą przyjemnością, a Panią, Droga p. „Pepi", zaliczę oficjalnie do grona poetek, skupionych w „Teczce" — naszym skromniutkim literackim kąciku.

NOWELKA — DOBRA

P. Tadeusz M. z P. Nadesłana nowelka — dobra! Zamieszczę ją w „Moich Powieściach". Rękopis powieści, proszę, niech Pan nadeśle na moje ręce.

Za nadesłane adresy — serdecznie dziękuję i łączę moc pozdrowień.

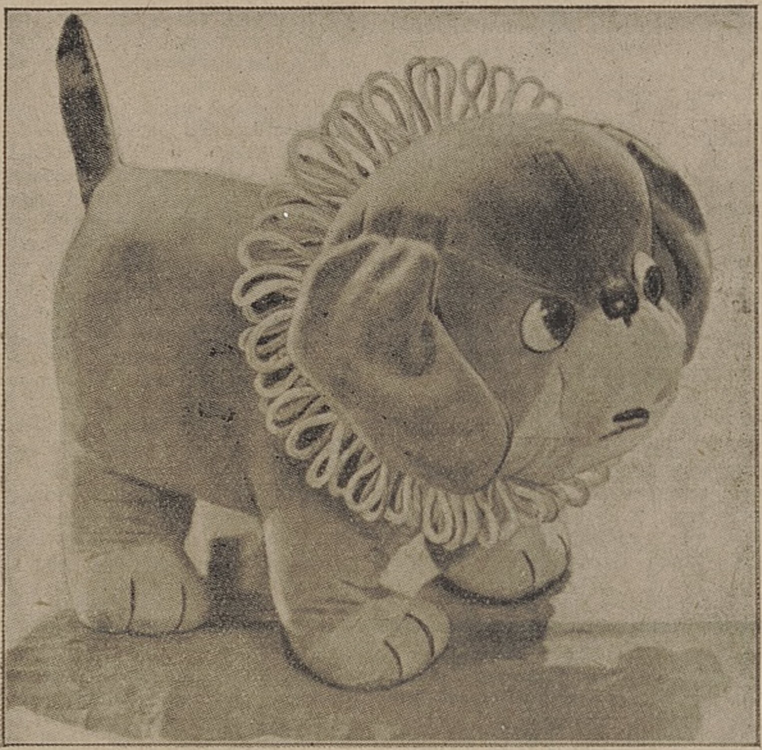
Raj kobiet

Co sobie zrobić?

Minęło miłościwe lato, a wraz z niem beztroski czas wypoczynków, wyjazdy na letniska i dalekie wycieczki. Wróciłyśmy z zapasem świeżych sił, pełne różnorodnych wspomnień, do naszego domowego zacisza i podjęłyśmy znowu spokojny i równomierny tryb życia.

Rozglądamy się znowu po naszem mieszkaku i kombinujemy, czem jeszcze podnieść jego miły wygląd...

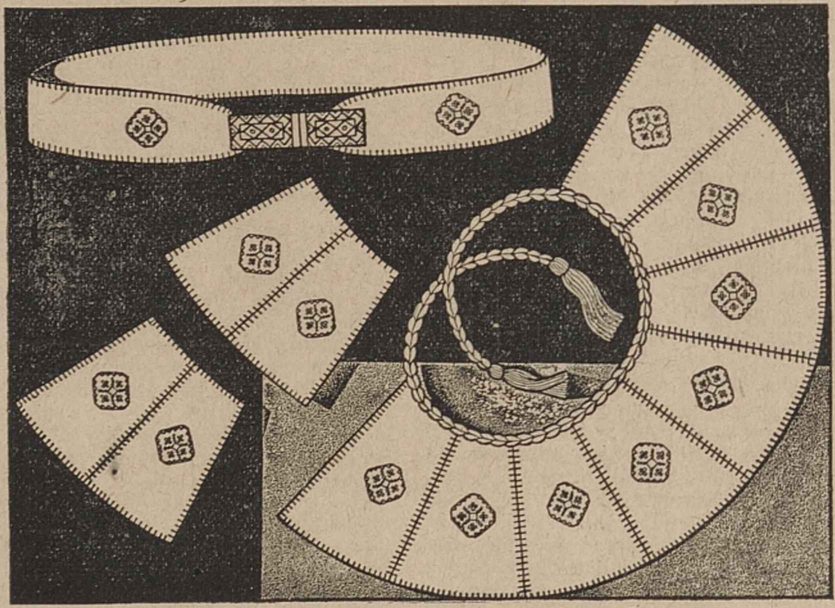
kotka udała jej się tak pięknie, znowu szuka sobie zajęcia. W trakcie przemyśliwań zaglada do szafy od rzeczy i ku swej wielkiej radości, odkrywa jakąś ciemną, wełnianą sukienkę z postrzępionym kołnierzykiem. Zapomniała zupełnie, że sukienka taka istnieje i już kombinowała o sprawieniu sobie nowej. Ale lepiej, że ta się znalazła, bo przynajmniej jej skromniutki budżet nie zostanie nadszarpnięty.



(Krój na powyższą maskotkę nabyć można w naszej administracji w cenie 1,40 zł.)

— Acha! — przypomina sobie pani Mira — chciałam przecież dla siebie zrobić maskotkę — cudownego psiaka, kłapoucha o ogromnych wytrzeszczonych oczach i śmiesznie malenkim noseczku. Widziałam podobnego u p. Lali. Siedział w jej przemiłym saloniku, na brzeżku fotela i był przedmiotem zachwytów wszystkich gości...

Za chwilę Pani Mira siedzi przy stoliku i z resztek od białej sukienki, wyczarowywuje sobie piękny kołnierzyk, mankiety i pasek. Z małych kawałeczków, mozolnie połączonych krzyżykami wypadł naprawdę śliczny garnitur do sukienki. Pani Mira nie żałuje w dalszym ciągu ani czasu, ani rączek — barwnemi nićmi haftuje na garniturku piękne motywy i wresz-



I uradowana odrazu zabiera się do pracy. Kawałki brązowego i beżowego sukienka szybko znalazły się w którejś z szuflad, więc po kilku dniach, na trzcinowej kanapce, bo p. Mira nie posiada wytwornych, pluszowych foteli, wybałuszał już olbrzymie gały prześliczny Azorek. Pani Mira zaś, zadowolona, że mas-

cie spoczywa na laurach.

W najbliższą niedzielę Pani Mira z dumą zakłada swoją starą sukienkę, która obecnie wygląda, jak nowa. Domownicy stają olśnieni.

— Co znowu nowa sukienka?

— Broń Boże, zeszłoroczna — tylko odświeżona.

— Prześliczna!

Pani Mira uśmiecha się zadowolona i z tym uśmiechem szczęścia na swej świeżej twarzyczce jeszcze piękniej wygląda w swej starej sukience i równocześnie myśli, co znowu sobie nowego zrobić.

M. Z.

DOBRA GOSPODYNI

Robimy zapasy na zimę

Kwaszenie kapusty sposobem wiejskim.

Beczkę na kapustę należy przed kiszeniem doskonale przygotować, tj. wyparzyć i wyszorować; beczka musi być nieuszkodzona, nie może ciec, ani też być zbutwiała. Najsmaczniejsza kapusta jest z beczki po winie, natomiast nie należy nigdy używać beczki, w której zaparzono ług, gdyż kapusta będzie się psuć.

Oczyszczone główki kapusty rozciąć na połowę, i poszatkować. Uszatkowaną kapustę 10 klg. włożyć do cebra, osolić 1 kg soli, dodać 1/8 kg kminku i garść poszatkowanej cebuli, wymieszać dokładnie, poczem nakładać do beczki i ubijać pałką. Dno beczki wyścielić całemi liśćmi kapusty. Gdy mamy kwaśne jabłka, włożyć je można gdzieniegdzie między kapustę; podnoszą one wybitnie jej smak. Włożyć można także całe główki kapusty, w zimie używa się je na gołąbki.

Podczas ubijania kapusty tworzy się wiele ropy, którą trzeba zczerpać i wylewać. Gdy beczka jest już napełniona, przykryć z wierzchu liśćmi kapusty, przycisnąć denkiem i kamieniem, postawić w kuchennej temperaturze na dwa, trzy tygodnie.

Od czasu do czasu kapustę trzeba odkryć, przebijać kijem otwory, pozostawić godzinę, aby gorycz wyparowała.

Po każdorazowem użyciu kapusty, należy obmyć krążki, przeprać płótna, któremi kapusta jest przykryta, poobierać beczkę z pleśni, gdyż inaczej kapusta nabiera złego smaku.

Grzyby szatkowane suszone, jak świeże.

Wczesną jesienią, gdy dużo świeżych grzybów, można zrobić łatwo zapasy na zimę. Należy uszatkować drobno czapeczki młodych grzybów i nie płókać ich w wodzie, rozsypać je na desce lub wieczku od pudła i ususzyć na słońcu. Potem złożyć do torby i trzymać w w suchem miejscu. Przed użyciem wypłókać, namoczyć w przeddzień w mleku, a nazajutrz odcedziwszy je, posolić, opieprzyć, dodać pół usiekanej cebuli, łyżkę masła i dusić przez godzinę pod przykryciem. Na kwadrans przed wydaniem posypać lekko mąką i wlać ćwierć litra kwaśnej śmietany. Takie grzybki w zimie są bardzo dobre do mięsa i smakują jak świeże.

Grzyby marynowane w occie.

Do marynowania należy wybierać tylko młode małe czapeczki z grzybów, opłókać je czysto w wodzie, a potem nastawić w kamiennym garnku, aby nie zczerniały lub nie przeszły blachą, dodać dużo pokrajanej w talarki cebuli, posolić, podlać kilku łyżkami wody i dusić, aż będą zupełnie miękkie. Potem wlać do nich octu owocowego do smaku, aby były dość kwaśne, wrzucić trochę pieprzu, angielskiego ziela, parę bobkowych liści i zagotować parę razy. Gdy przestygną złożyć do szklanych słoii i zawiązać pęcherzem lub papierem pergaminowym. Podawać do różnych mięs lub używać do garnirowania sałat, auszpików itp.

Suszenie jarzyn na zimę.

Wszystkie prawie jarzyny można pokrajać w kawałki i suszyć każde z osobna na blachach w letnim piecu, lub też uszatkować drobno różnego rodzaju jarzynki, jak: marchew, pietruszkę, kalafiory rozebrane na drobne cząstki, dodać trochę zielonego groszku, kopru i natki pietruszki, włoskiej kapusty poszatkowanej, jak makaron, zmieszać te wszystkie jarzynki razem i rozłożywszy cienką warstwą na grubym papierze, suszyć, często mięszając, na słońcu. Gdy jarzynki będą już zupełnie suche, złożyć je do pudełek lub słoi, zawiązać pergaminowym papierem, aby nie wywietrzały, a będziemy miały bardzo smaczne jarzynki na zimę do różnych potraw. Przed użyciem należy je zawsze na noc namoczyć, w letniej wodzie, a potem gotować lub dusić na maśle.

Świat i życie

Pod gorącem niebem polskiej Afryki

W przeddzień pierwszego święta winobrania w Zaleszczykach

(Korespondencja własna).

Zaleszczyki, we wrześniu 1936

Tegoroczne, pierwsze w Polsce święto winobrania w Zaleszczykach, rozpoczynające się dn. 19 września — zwróciło powszechną uwagę

szerszego ogółu na ten jedyny bodaj skrawek ziemi polskiej o ciepłe podzwrotnikowem, na tę prawdziwą oazę owoców południowych, dostępnych wyjątkowo bez cła.

Od pewnego czasu dużo się słyszy i czyta o Zaleszczykach, które jedni nazywają polskim Meranem, drudzy zaś polską Riwierą, a nawet polską Afryką. Do niedawna jednak mało kto w Polsce wiedział dokładnie o owocach południowych, słońcu, pięknych okolicach, warunkach kuracyjnych, jednem słowem o tych wszystkich walorach, z których znane są dziś Zaleszczyki. Ciekawością powodowany pojechałem więc w te strony i zaczerpnąwszy garść informacyj, dzielę się niemi z czytelnikami. Na wstępie kilka ogólnych wiadomości.

„Polska się ciągnęła od morza aż do Zaleszczyków" — pisał znany etnograf Zygmunt Gloger — pragnąc tem może zaznaczyć, że Zaleszczyki, to kresy południowe Rzeczypospolitej miejscowość wysunięta u nas najwięcej na południe. Położone nad samą granicą Bukowiny, znajdują się znacznie bliżej od rumuńskich Czerniowiec, niż od polskiej Kołomyi. Leżąc niezbyt daleko od Kamieńca, za czasów dawnej Rzeczypospolitej wchodziły w obręb województwa podolskiego, dziś należą Zaleszczyki do wojew. tarnopolskiego.

Zagarnięte przez Austrję przy pierwszym rozbiorze Polski, należały Zaleszczyki wraz z całym powiatem i wschod. pasem Galicji przez pewien czas do Rosji, mianowicie od r. 1809—1815, na mocy traktatu, zawartego w Schoenbrunnie.

Pod względem etnograficznym powiat zaleszczyński zaludniony jest przez ludność ubogą w 65 proc. ruskiego pochodzenia, która stoi jeszcze na b. niskim stopniu rozwoju kultury, w dużej części opanowana przez licznie osiadłe tam wszędzie żydostwo.

Tyle na temat ogólnej charakterystyki Zaleszczyk. Od miarodajnych osób na miejscu dowiedziałem się jeszcze szereg szczegółów co do rozwoju tej miejscowości jako uzdrowiska i jako doskonałego terenu do uprawy wina i innych owoców, zwłaszcza moreli.

Rozwój Zaleszczyk jako uzdrowiska datuje się dopiero od roku 1928, to jest od chwili kiedy weszły na oficjalną listę uzdrowisk w Polsce. Przedtem Zaleszczyki nie mogły się rozwijać, gdyż nie było żadnych plaż, a tem więcej dostępu do nich, nie było też dogodnych warunków mieszkaniowych dla letników, natomiast co krok widać było ruiny i ślady spustoszenia z czasów wojny. Dopiero, gdy na miejscu ruin pobudowano nowe budynki, rozszerzono sieć elektryczną i wodociągową — powstały pierwsze warunki dobrego letniska.

Na pewne choroby działa bardzo korzystnie siła promieni słońca w Zaleszczykach. Gdy lekarze warszawscy stwierdzili znakomite skutki nasłonecznienia na tutejszej plaży, sława Zaleszczyk rosła. Liczba letników wzrastała z roku na rok, zwłaszcza z chwilą gdy udostępniono brzegi Dniestru i powstały dwie plaże, jedna cienista, naturalna, druga „sztuczna" słoneczna z wysokim brzegiem i ścianą skalną. Z chorób leczy się tu ischias, reumatyzm, zołzy, choroby nerek, narządu oddechowego, nerwicę i t. d.

Ale Zaleszczyki to nietylko letnisko i uzdrowisko. Rosną tu masowo morele, ostatnio udają się doskonałe wina. Opowiadano mi, że winogrona dochodzą tu czasem do wielkości małej śliwki. W obrębie Zaleszczyk i okolic winnice zajmują obecnie około 130 hektarów. Dla całej Polski wina jednak nie starczy, ale w tem jest pociecha, że i wino mamy własne nie najgorszego gatunku.

Warto jeszcze wspomnieć, że Zaleszczyki są bardzo ciekawym terenem dla badaczy — przyrodników. Stwierdzono tu bowiem istnienie szeregu nieznanych Polsce roślin, m. in. z Kaukazu. Obok flory i fauna niezwykła w tych stronach.

Polski letnik lub turysta darząc sentymentem Morze, Tatry i Pieniny, powinien i na Zaleszczyki zwracać coraz większą uwagę. Szczególny charakter tych stron, ich egzotyczny urok pod względem ciepła i owoców zastąpić mogą niejednemu nawet daleką podróż zagraniczną.

K. O.

Ze świata

Trzy kalendarze japońskie

Japończycy mają w użyciu trzy rodzaje obliczania czasu. Najstarszy system kalendarzowy rozpoczyna się od roku 660 przed Nar. Chrystusa od daty koronacji pierwszego Mikada-Jimmusa, tak, iż licząc według tego kalendarza mamy obecnie w Japonii rok 2596-ty. Drugim kalendarzem, który coraz szerzej wchodzi w użycie, jest nasz europejski kalendarz gregoriański. Lud natomiast używa jeszcze w wielu miejscowościach trzeciego rodzaju liczenia czasu, t. zw. kalendarza Rengo. Kalendarz Rengo polega na nadawaniu każdemu okresowi panowania każdorazowego mikada nazwy mniej lub więcej symbolicznej. Tak więc np. według kalendarza Rengo znajduje się obecnie Japonia w 11-tym roku ery „Showa". „Showa" zaś oznacza zgodę i oświatę. Tą samą nazwą „Showa" określono czas panowania mikada Kotoku Tenno. Zresztą nazwy te zmieniały się często w ciągu panowania jednego i tego samego władcy, zależnie od szczęśliwych lub niepomyślnych wydarzeń o znaczeniu ogólno państwowem. Tak więc za 22-letniego cesarza Godaigo zmieniono nazwę roku niemniej niż dziewięć razy. W ten sposób chciano zażegnać wpływ katastrof, które nawiedzały raz po raz kraj. Cesarz Muji, który wstąpił na tron w 1868 roku zerwał z obyczajem ciągłych zmian w nazwach lat i rozporządził, aby jego następcy obierali dla okresu swych rządów jedną tylko nazwę, która miała już zostać niezmienioną.

„Pechowy dzień..."

(Praca konkursowa oznaczona III-cią nagrodą na konkursie „Moich Powieści".

Tuż obok granicy czesko-polskiej w Siankach, w przepięknej dolinie rozbito namioty harcerskie — kursu instruktorek zuchowych. Śliczne położenie, piękno natury i majestat gór oraz świeże powietrze wpływało na nas wprost cudownie. Ogarnął nas wilczy zapał do pracy, to też w kilka dni później ciszę górską przerwał stuk młotków i wbijanych gwoździ — przerywany harcerską piosenką. W ciągu trzech dni stało wszystko gotowe, prycze, stoły, ławy, wieszaki... i zajęcia poczęły odbywać się normalnie.

Pamiętam, zbudziłam się pewnego ranka i jeszcze leżąc na drewnianej świeżo zbitej pryczy, (która wydawała mi się najwygodniejszym materacem), dowiedziałam się, że nasz zastęp miał dziś dyżur w kuchni. Byłam w nielada kłopocie, ponieważ o kuchni nie miałam zielonego pojęcia, a tu jak na złość, ktoś szepnął, że ja wyśmienicie gotuję, świetnie smażę... że wszystkie inne będą mi pomagały, bylebym tylko ja zajęła się wyłącznie gotowaniem. Nie chcąc poderwać swego autorytetu, udałam oczywiście rutynowaną kucharkę i z całym zapałem i mówiąc nawiasem ogromnym strachem zabrałam się do pracy.

Przed śniadaniem, pobiegłyśmy z koleżanką z ogromnym kotłem do pobliskiego dworu po mleko. W drodze powrotnej z 30 litrami mleka trudno nam było się przeprawiać przez San, który jak każda górska rzeka miał bardzo silny prąd... gdy już znalazłyśmy się na środku rzeki... Ziuta zbladła i wrzasnęła na całe gardło... „rób co chcesz... ja już trzymać nie mam siły..." zrobiło się gorąco w tej zimnej górskiej rzece... „oszalałaś"... krzyknęłam... „chcesz by mleko wylało się do rzeki... a śniadanie..." nie zdążyłam wypowiedzieć ostatnich słów... gdyż Ziuta wypuściła ucho kotła z ręki, a ja tracąc równowagę... wpadłam wraz z kotłem mleka do rzeki... która w ciągu kilku sekund popłynęła mlekiem (szkoda tylko żeśmy jeszcze miodu nie miały). „Ładnie się zaczyna", — myślałam — wracając do obozu zmoczona do suchej nitki z pustym kotłem.

Co robić... na śniadanie najwyższy czas... ponieważ było już bardzo późno, podałyśmy mocno zagrzaną wodę, i zagotowaną esencję... przecież nie była to trucizna... zresztą nie było innej rady.

Zaraz po śniadaniu zabrałam się do przyrządzania obiadu. Choć dzień był pochmurny... mnie było tak gorąco, że poprostu pracować nie mogłam, zresztą — czy to nie odwaga przyrządzać dla 70-ciu ludzi obiad i nie mieć o gotowaniu pojęcia...???

Pieczeń... wpakowałam w ogromny rondel... i dalej, masło, pieprz, czosnek... ach co czosnku, ile tylko było w spiżarni... dalej liście (nawet nie wiem jakie to były... i po co leżały w spiżarni?)... trochę soli... i pół godziny potem rozchodziła się przemiła głodnym żołądkom, woń smażonej pieczeni... serce mi rosło ze szczęścia, z radością odstawiłam rumianą pieczeń (czyż mogłam przypuszczać, że była wewnątrz surowa) i zabrałam się do przyrządzania zupy... ach z tem było gorzej... Z ledwością wtoczyłam na kuchnię wielki kocioł pełen czystej wody, z której miałam gotować zupę... jaką? — phi — jarzynową. Ale muszę kilka słów powiedzieć o naszej kuchni. Była ona ulepiona z gliny, coś w rodzaju skrzynki z blachą żelazną i fajerami, a przed deszczem otoczona była czterema drągami, na których spoczywał dach sklecony z liści, gdzie spędzały wieczory i odbywały swe narady wszystkie koty z okolicy.

A więc dalej... robiłam zupę... jarzyny, marchew, pieprz, brukiew, cebulę, pietruszkę... słowem wszystko, co było choćby zbliżone do jarzyn, nakoniec 100 kostek maggi... i czekam... ach... co za aromat.. i proszę — woda przemieniła się w gęstą aromatyczną ciecz, gdyż narazie zupą tego nazwać nie mogłam. Gdy potem włożyłam na dodatek 10 paczek makaronu i zmieszałam... co to była za zupa?.. paluszki lizać... wkoło mnie zebrały się harcerki... i patrzyły na mnie z uznaniem dogadując: a... mówiłaś, że nie umiesz gotować..." Boże, co ja wtedy w duszy pomyślałam... ale byłam zadowolona, prawie szczęśliwa, że o mało nie rzuciłabym się na szyję krowie, która pasła się opodal, zwabiona zapachem kuchennych przysmaków.

Promieniejąca szczęściem, mięszałam dogotowującą się zupę i marzyłam o sprawności kucharki, gdy nagle... stało się coś tak nieoczekiwanego, czego nie zapomnę nigdy, otóż dach nad kuchnią począł się lekko poruszać... wreszpoczułam wyraźnie, że kołki wbite w ziemię... poczynają przechylać się i w tym dach nie wytrzymał ciężaru kotów, które gremjalnie zebrały się na mój obiad... i nagle... aaa! dach zarwał się, opierając się na mojej głowie, a cały zwój liści wraz z kotami wpadł do mojej smacznıutkiej zupy, z takim ciężkim trudem przygotowanej.

Stałam jak posąg, nie wiedząc, czy ratować wrzeszczące w niebogłosy koty, czy zupę, czy też sama siebie. Pomoc nadbiegła szybko i zaledwie w kilka sekund później, dwa poparzone koty, skowycząc przeraźliwie biegły w las... a moja zupa... mój obiad... i moja biedna głowa... która wstrzymała cały dach... bo inaczej — to nie wiem, co by było.

Byłam tak zrozpaczona, że nawet nie zauważyłam, że wokoło mnie zebrały się już wszystkie uczestniczki kursu... współczując memu nieszczęściu...

Obiad wydano bez zupy, nie chciałam słyszeć o opinji obiadu, czy pieczeń smakowała, czy też nie, ale za skarby świata kolacji już nie chciałam gotować... uciekłam w las i tam ułożywszy się na pachnącej trawie z kompresem na potłuczonej głowie, skarżyłam się dumnym smrekom ze swego nieszczęścia... a z oddali dochodziły mnie odgłosy stuku menażek i łyżek... uciekłam dalej, by nie słyszeć tego szczęku... bo mnie wprawiał w dziką rozpacz... taka kompromitacja... taki wstyd... nie wiem jak długo leżałam tak w lesie z wtuloną głową w świeżą zieloność trawy... ale byłam tutaj taka szczęśliwa... taka tu była cisza... tylko w oddali słychać było smętną piosnkę pastuszka, wygrywaną na wiklinowej fujarce... i beczenie owiec... pasących się na halach... patrzyłam na szczyty górskie prosząc... Boga, by nigdy już nie wyznaczali mnie do gotowania obiadu.

Kiedy wyjeżdżałam z kursu... serce mi zadrżało, gdy z rąk komendantki brałam książeczkę służbową... jakie było moje zdziwienie, gdy otrzymałam sprawność kucharki... i pierwszy stopień...

Helena Karge.

Chan nie mógł nadążyć w ściskaniu rąk.

Porucznik Portillo, kapitan Estanga, porucznik Otrega, major Alkantara, pułkownik Delgado...

Nagle rozległ się przejmujący kobiecy pisk...

Wszyscy się odwrócili... i wybuchnęli śmiechem. To młodzi oficerowie szpicrutami rozpędzali publiczność...

Damy ze świata i półświatka, wysoko podnosząc długie i wąskie wieczorowe suknie, pierzchały przed ciosami rozochoconej młodzieży kawaleryjskiej.

Najbardziej zawzięci gnali te miłośnice silnych wrażeń do wrót i dalej po wybrzeżu.

Długo jeszcze unosił się w powietrzu pisk wystrojonych, wyperfumowanych, pięknych pań, które odrazu stały się wstrętne, mizerne, obdarte, jakgdyby ich modne i drogie toalety zamieniły się w brudne szmaty ulicznych włóczęg...

Toast kubkami z bawolich rogów

Wyrokiem losu, Ammalat nie miał zginąć tej nocy. Natomiast tej samej nocy on wypił dużo szampana, aczkolwiek odrzucił podany przez Barbasana kielich.

Z fortecy wyniesiono Ammalata na rękach.

Pochód kroczył przez miasto do kasyna dywizji kawalerji. Do świtu ucztowali tam uczestnicy przewrotu, głośno i wesoło świętując koniec tyranji Barbasana.

Zwycięstwo zupełne! Władza w rękach powstańców. Jedyna podpora Barbasana — guerillasi śmierci — rozbrojeni. Ich koszar strzegą karabiny maszynowe.

Ucztujący byli „w pełnem pogotowiu bojowem.“ Na wszelki wypadek.

Przed każdem nakryciem leżał bawoli róg, oprawiony w srebro, o pojemności jednej flaszki szampana.

Inspirator powstania — porucznik Diatz, powiedział coś jednemu z usługujących ordynansów. Ten wyszedł i wrócił w towarzystwie całego oddziału, składającego się z siedemdziesięciu dwuch żołnierzy; tylu było biesiadników. Każdy żołnierz trzymał w rękach flaszkę, owiniętą w serwetę. Oficerowie podstawiali rogi, do których pieniąc się i iskrząc, lał się szampan. Gdy rogi zostały napełnione po brzegi, wstał Diatz:

— Wasza wysokości, panowie oficerowie... Pierwszy nasz toast wznoszę na cześć tego, który jest przyczyną tak szczęśliwie dokonanego przewrotu, to znaczy — Chana Mugańskiego!

Mówca zrobił pauzę i spostrzegł zdziwienie na twarzy Ammalata i wszystkich obecnych. Po chwili mówił dalej:

— Zaraz wyjaśnię, dlaczego jesteśmy zobowiązani jego wysokości. Kto, jak nie Chan Mugański wychował nas w najlepszych tradycjach rosyjskiej kawalerji? On wskrzesił w nas odwagę i dzielność! On skuł nas przyjaźnią, dyscypliną i miłością do żołnierza. Żołnierze ze swej strony pokochali nas i oto my, dywizja, jesteśmy nierozdzielną całością! Chan Mugański potrafił przekonać nas, że jesteśmy rycerską kastą, której zadaniem jest nietylko bronić ojczyzny przed wrogami zewnętrznymi, ale i przed wewnętrznemi wstrząsami, przed grabieżnemi dyktaturami złych ludzi, nieokrzesanych, chciwych, prowadzących kraj do ubóstwa, samowoli i — początkowo do upadku, a potem do zagłady. Oto dlaczego, natchnieni temi ideałami, silni przyjaźnią i dyscypliną, nie mieliśmy wśród siebie ani jednego zdrajcy. Jak zahartowani sportsmeni, którzy śmiało rzucili rękawicę losowi, my tak świetnie, tak błyskawicznie opanowaliśmy sytuację. Niech ktokolwiekbądź spróbuje zaprzeczyć mi, że od początku do końca to nie sławetna szkoła Chana Mugańskiego, szkoła, którą szczycimy się wszyscy i długo jeszcze będziemy się szczycili. Panowie oficerowie, największem szczęściem byłoby znowu ujrzeć jego wysokość na czele naszej konnicy, lecz, niestety, osobiste sprawy wielkiej wagi wymagają obecności Chana Mugańskiego we Francji. Zauważyłem, że ciężkie rogi, z których on nauczył nas pić, drżą u niektórych z panów w rękach. Za chwilę będą lżejsze. Chcę tylko przypomnieć: bywało, że wśród tych samych murów ucztowaliśmy do świtu, przy końcu każdy z nas wypijał jednym tchem róg szampana. Ale, na sygnał jego wysokości, dosiadaliśmy koni, robiąc wyprawy po pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów po bezsennej, pijanej nocy. I nikt nigdy nie spadł z konia, nikt nigdy nie pohańbił siebie. Czy to nie wskaźnik uczuć, miary i wytrzymałości, znowuż wydobytych z nas przez Chana Mugańskiego? Czy nie on nam zalecał: kto nosi mundur wojskowy, winien zawsze pamiętać, kim jest, i żadna uczta, żadna zabawa nie może mu przeszkodzić w przejawieniu, każdej chwili, najlepszych wartości oficera kawalerji dla przykładu i naśladowania przez podkomendnych. Pamiętajmy więc dobrze te przykazania i osuszmy do dna te rogi na cześć i chwałę najszlachetniejszego rycerza, Chana Mugańskiego, naszego wodza, nauczyciela i przyjaciela! Życzmy z całej duszy szczęścia — to dla niego — i zachowania ścisłego kontaktu z naszą dywizją — to dla nas. Panowie oficerowie! Zdrowie jego wysokości!..

Odskoczyły i przewróciły się krzesła, tak ochoczo podnieśli się wszyscy i zaczęli pić z siedemdziesięciu dwu rogów, pić bez przerwy, nie odrywając ust od srebrnej oprawy tych gigantycznych kubków.

Im mniej zostawało wina w rogach, tem bardziej przechylały się głowy w tył, a oczy zazdrośnie obserwowały, kto pierwszy wypije do ostatniej kropli.

On, pierwszy on, Chan Mugański, przechylił swój róg szerokim otworem w dół... Wszystko wypite, nic nie zostało!..

Ale tu już nie było miejsca na zazdrość, był tylko zachwyt. Po dwuch tygodniach więzienia, po nocy strasznych przeżyć, wykazać tyle wytrzymałości, samoopanowania i siły, siły fizycznej i moralnej...

Po mowie pożegnalnej Chana, krótkiej, treściwej i gorącej, Diatz odwiózł go do hotelu „Fernando Kortez“, gdzie czekały przygotowane apartamenty.

Nazajutrz około godziny jedenastej, Diatz zastał Chana już na nogach. Po czterech czy pięciu godzinach snu i zimnej kąpieli, był już świeży i wypoczęty.

— Wasza wysokości, jak długo będzie pan jeszcze naszym gościem?

— Drogi Diatz, pan sam rozumie, jaką przyjemnością jest dla mnie być gościem przyjaciela, który dwa razy uratował mi życie...

— Wasza wysokości, to dla mnie przyjemność i zaszczyt dwa razy uratować tak piękne i drogocenne życie!

— Dziękuję, Diatz, wierny przyjacielu mój! Ale przy kolacji pan sam powiedział: wasza sprawa wymaga rychłej obecności Chana w Paryżu. Jakie minimum pan mi wyznacza, nowy dyktatorze?..

— Czterdzieści ośm godzin! Przez ten czas zdążymy wyekwipować waszą wysokość do drogi. Kto panu szył cywilne ubrania? Sanza? Zaraz sprowadzę go telefonicznie.

Słowo „telefon“ przypomniało Chanowi:

— Diatz, pan może... pan teraz wszystko może, wezwać wasz konsulat w Nowej Kartaginie: niech się dowiedzą i zaraz dadzą znać, czy wyjechała już trupa filmowa O'Donnela, która obozowała na pustyni koło ruin starego miasta?

— Konsulat już napewno wie o aresztowaniu Barbasana i wszyscy, począwszy od tego rzezimieszka i złodzieja Eskobedo, rozbiegli się, jak szczury. Niech ja porozumiem się lepiej z szefem tamtejszej policji... Otrzymamy szybką i dokładną odpowiedź.

Po dwuch godzinach nadeszła wiadomość, że trupa O'Donnela w całym swoim komplecie wyruszyła przed kilkoma dniami do Francji na okręcie „Goia".

— Tembardziej muszę spieszyć się z wyjazdem! — powiedział Chan. — Ach, tak, był już Sanza. Pan wydał mu polecenie, ażeby mnie ubrał, jak pierwszego amanta stołecznego teatru. Kiedy ja wam to wszystko zwrócę?..

— Nigdy!.. Kordula jest niewypłacalnym dłużnikiem Chana Mugańskiego. Nawet wrogowie pana ocenili świetne zwycięstwo nad Mursją, jako czysty dochód na rzecz skarbu państwa w wysokości pięciuset miljonów pezo.

— Niech już tak będzie, — zgodził się Ammałat i dodał z uśmiechem: — I tak jestem w waszej mocy... Aha, Diatz, zapomniałem zapytać się, co porabia hrabia Avilla z żoną?

— Już niema ich w Huelwie... Prawie bezpośrednio po ucieczce pana, hrabia otrzymał nowy przydział do Lizbony, oddał agendy radcy poselstwa i wyjechał. Hrabina tęskniła... nie trudno domyśleć się — po kim...

Cień dotknął twarzy Ammałata.

Ze wzrokiem, utkwionym gdzieś w przestrzeń, Chan marząco mówił:

— Tak niedawno, tak mało przeszło czasu, a tyle było przeżyć. Wszystko to wydaje mi się czemś bardzo dawnem, bardzo dalekiem... Sen, fata morgana, czy jedno i drugie... Chłód ciemnej alei, zapach perfum i ona sama, bezcielesna, jak nocna zjawa... Miękkie, wysubtelnione przez odległość dźwięki gitary, pana nagłe zjawienie się, Diatz...! Rewolwer, tabliczki czekolady, wysoki mur... Przy pomocy pana „biorę" mur, jak bierze przeszkody kawalerzysta, i... sam w pustyni, sam... Nade mną tylko Bóg i gwiazdy... Czy to można zapomnieć?!

— O! wasza wysokości, jak my tu drżeliśmy o życie pana, dowiedziawszy się, że Barbasan w tym właśnie kierunku rzucił swoją pogoń, i z jaką ulgą westchnęliśmy pełną piersią, gdy wrócił żandarm z przestrzeloną ręką. Wtedy uwierzyliśmy, że Bóg i pustynia chronią pana...

Francuska wiza na kordulelskim paszporcie, angielskie kufry z cienką bielizną i ubraniami. Jeśli dodać do tego kabinę pierwszej klasy na okręcie „Perła Francji", dobrze wypchany portfel, który Diatz siłą wpakował Ammałatowi do kieszeni, piękną podróż na spotkanie ukochanej kobiety i patrjarchy-dziadka, który lada dzień może umrzeć, a najważniejsze — świadomość, że sam Chan cudem tylko został przy życiu, to doprawdy, nie było jeszcze nikogo chyba na świecie, ktoby każdem uderzeniem serca odczuwał tak niewymowną radość życia!

Dwadzieścia jeden dni. Długo, bardzo długo!

Ale co to za rozkosz oddychać powietrzem oceanu, zachwycać się bezbrzeżną przestrzenią, upijać się powietrzem i przestrzenią jak dzieci wczesną wiosną... Co za rozkosz myśleć o szczęściu, które ciebie ieszcze czeka, mimo, że już i teraz jesteś szczęśliwy...

A jak niewyczerpaną jest twórcza praca fantazji.

Ulatuje naprzód, wraca spowrotem, zatrzymuje się na teraźniejszości...

Tłoczą się obrazy, epizody, oddzielne słowa, psychologiczne kreseczki własne i cudze... Jak wicher przelatują pragnienia, plany, nadzieje, krzyżuje się miłość z nienawiścią i okrucieństwo z dobrotliwością...

A sploty anielskich uśmiechów i djabelskich grymasów, śmiesznego z tragicznem, pięknego z brzydkiem, czułego z krwawem i dzikiem, pokory z dumą, codziennego z nadprzyrodzonem?

Wszystko to on przeżył. Wszystko to wżarło się w niego na wieki w przeciągu ostatniego miesiąca.

Pragnienia tak szybko wyprzedzały mknącą po falach oceanu „Perłę Francji", że wydawało się, jakby stała na miejscu.

Pierwsza rzecz — zemsta na Gafanim! Wszystko pozostało na później! Straszna, upajająca będzie zemsta. Nagle Chan Mugański zaczął się trapić: poco wysłał list do Mar - Molli? Poco?

Ta myśl nie dawała mu spokoju jeszcze w Huelwie, i na ten temat rozmawiał z porucznikiem - dyktatorem:

— Drogi Diatz, dużo oglądałem dramatów filmowych, z bliska poznałem życie artystów, sam trochę „kręciłem," ale żaden scenarjusz nie dogoni życia... Naprzykład: gorączkowe przygotowania do mojej egzekucji przy akompanjamencie pił, siekier itp. piszę pośmiertny list do Paryża, do kobiety, która stała się najdroższem dla mnie stworzeniem. Bardziej aniżeli pośmiertny — autor listu jest już bez pięciu minut trupem. I, oto, ten „bez pięciu minut trup" nagle ożył i jedzie w ślad za listem. Jeśli list przyjdzie wcześniej, ja wiem, że rozpacz tej istoty będzie wielka, do tego stopnia wielka, że już teraz odczuwam jakieś zażenowanie... gdy nagle zjawię się żywym i zdrowym, z krwi i kości...

— Dlaczego „zażenowanie"? — opanował Diatz, — wielka rozpacz ukochanej istoty stanie się wielką radością, a zresztą niewiadomo, kto będzie pierwszy: list, czy pan! Wszystko zależy od tego, kiedy i na jakim okręcie znalazł się ten list.

* *
*

Ammałat tak głęboko przeżywał swoje uratowanie, swobodę, pragnienie życia, miłości i zemsty, że z nikim nie chciał zawierać znajomości, ani rozmawiać.

Tak było pierwszego dnia.

Nie zwracając uwagi na pytające spojrzenia panów i zalotne uśmiechy panienek i pań, godzinami leżał, marząc na szezlongu lub patrzał w dal oceanu, oparty o parapet.

Drugi wieczór na pełnem morzu.

Nie chcąc przebierać się w smoking, kazał podać sobie obiad do kabiny, a potem zapalił cygaro, wziął pled, wyszedł na pokład i położył się na szezlongu.

Chłodne tchnienie nocy, półmrok, uczucie sytości, dwa kieliszki benedyktynki, wonne cygaro, przyjemnie rozleniwiały ciało, usypiając myśl...

...Nisko, nisko schyla się nad nim kobieta, olśniewająca swoją bezwstydną nagością. I tembardziej bezwstydną, że wszyscy pasażerowie, którzy wyszli na pokład, patrzą na nią, na nich.

On poznaje w tej piękności Mar - Molli z szaro - zielonemi oczyma Manii d'Or. Skromność muzułmanina, nawet do własnej żony dostępującego, jak do kochanki, szepcze mu: „patrzą na was!" Ale namiętność przeważa: kobieta z oczyma innej kobiety — obok niego, on czuje jej nagość, całą ją od palców nóg do gorących napółotwartych ust. Chwila niewypowiedzianej rozkoszy. On spazmatycznie otrząsa się cały, i... jest sam jeden. Ciemno, niema nikogo...

Ten sen nie był niemożliwością, nie oszukał go, nie wyśmiał, nie okłamał, tylko podchwycił to, co go czeka w Paryżu z prawdziwą Mar - Molli, z jej fiołkowemi oczyma, zamiast kocich szaro-zielonych oczu Manii.

I uśmiechnąwszy się, Ammałat wyciągnął się z lubością i znowu podkradło się coś szatańskiego, zamknęło powieki, zgasiło myśli, jak podmuch wiatru gasi świecę...

...Gafani w podzwrotnikowym smokingu z twarzą wykrzywioną przez strach i wściekłość, rzuca się, strzela do kogoś! Czarna, długa, jak kolosalny wąż, ręka, wyciąga się ku niemu, do jego szyi.

Gafani rzęzi.

Czarna ręka pierścieniami okręca jego ciało. I nagle zniknęli obaj: i Gafani i ten wąż bez łuski.

Szubienica.

Szubienica wysokości pięciu pięter. Taki sam wielki jak ta szubienica wisi na niej Barbasan w pierogu i mundurze marszałka polnego, bosy. Lepkie, sine nogi, bujając się dotykają twarzy Ammałata. Ten dotyk powoduje u niego nudności. Ale, osłupiały, nie może ruszyć się z miejsca, odsunąć twarzy, odwrócić oczu od szaro - sinego Barbasana z wysuniętym, drażniącym językiem... I nagle ta wielka tusza, zerwawszy się, pada całym swoim ciężarem na Ammałata... On pada, traci dech, krzyk zamiera na jego ustach...

Oddałby życie, byle raz tylko krzyknąć, jeden tylko raz...

I, o szczęście, on krzyczy przeraźliwie, całą piersią...

Już nie odczuwa nieznośnego ciężaru. Barbasan nie przygniata go więcej. Ale Ammałat słyszy inne jakieś krzyki, już na jawie, tu na pokładzie...

Straszne, przenikliwe, zewsząd...

Zupełnie blisko jakiś męski głos woła w przerażeniu:

— Radio - stacja w ogniu... O zgrozo!... Nikt się nie dowie, nie wyłowią nas, nie wyratują, wszyscy zginiemy...

Krzyczący mężczyzna pobiegł dalej powtarzać tosamo. On już nie jest zdolny do niczego więcej i z tem zdaniem pójdzie na dno.

Ammałat zerwał się na równe nogi. Starczyło dwuch — trzech sekund, zdał sobie sprawę z położenia: Wielki okręt płonie, lub został podpalony — czy nie wszystko jedno? — w kilku miejscach naraz! Pożar ogarnia wszystko łatwopalne. Dym już wydostaje się na pokład.

Nowe krzyki rozpaczy. Panika wzrasta.

Oddział maszyn, kabiny w ogniu.

Nikt nie myśli o gaszeniu ognia. Bezcelowe...

Prędzej tylko łodzie spuścić! Pomocnicy kapitana i majtkowie pracują przy tem. Rzuca się na wszystkie strony oszalały tłum ludzi.

Jedni rzucają się do łodzi, skąd zostają odpędzeni rewolwerami.

— Porządek, porządek... Dzieci i kobiety przedewszystkiem!

Nikt nic nie słyszy, nie rozumie.

Zwierzęcy strach pożarł wszystko, co ludzkie.

Marynarze tłuką natrętnych pięściami w twarz. Biją kolbami rewolwerów.

Nic nie pomaga. Mężczyźni z okrwawionemi twarzami rozpaczliwie wołają:

— Puście, puście mnie!

Rozległo się kilka wystrzałów...

Wielu z pasażerów, którzy rzucili się do kabiny, by ratować kosztowności, pieniądze i zwykłe rzeczy, znalazło śmierć w ogniu i dymie...

Ammałat zachował spokój.

Tak niedawno, wszystko bowiem jest jeszcze świeże w pamięci, on przemęczył się i przeżył tyle okropności, śmierć tak blisko zaglądała mu w twarz swojemi pustemi oczodołami, że tu go już nic nie przerażało, nie skuło strachem o siebie i o swoje życie, znowu wiszące na cieńkim włosku.

On zrobi wszystko, co w jego leży siłach, dla bezbronnych i słabych, a dalej — niech się dzieje wola nieba...

I rzucał, walił z nóg młodych i zdrowych mężczyzn, podchwytując kobiety i dzieci i torując im drogę, jeśli nie do ratunku, to przynajmniej do nadziei ratunku...

Zewsząd lament, krzyki, histerja, nagłe pomieszanie zmysłów.

Tylko egoizm...

Bezmyślnie śmiał się żółty annamita, szeroko otwierając usta ze sterczącemi mocnemi, czarnemi zębami.

Instynkt samoobrony nie został w nim przytłumiony warjactwem. Lekki, ruchliwy, jak małpa zwinny, prześlizgiwał się wszędzie do łodzi i wszędzie natrafiał na Ammałata.

Chan znienawidził annamitę z jego odrażającym uśmiechem, z czarnemi zębami i chytrością warjata w małych oczkach.

Mało było takich, u których nerwy wytrzymywały.

Matki wraz z dziećmi na zgrabiałych rękach, rzucały się w odmęty oceanu.

Nagle, jakby z czeluści piekieł wypadli na pokład półnadzy palacze, czarni od kopciu, spoceni, i jęli atakować szalejący tłum, rozbijając czaszki żelaznemi łopatami i zamieniając wszystko na swej drodze w czarne mięsiwo.

Jedni siali spustoszenie pod wpływem ostrego szału, drudzy zaś, widząc zbliżający się koniec, chcieli wywrzeć, latami narastającą dziką zemstę na tych bogatych, dobrze odzianych, którzy rozkoszowali się komfortem tam u góry, podczas gdy oni, palacze, na dole u siebie dusili się i upadali pod brzemieniem swojej katorgi w rozpalonem piekle.

Już spuszczono wszystkie łodzie. Dużo łodzi.

Wszystkie są przepełnione ludźmi, ale nie zmieściły nawet dziesiątej części pasażerów.

Prawie cały okręt już w ogniu.

Ofiarami ognia stają się wszyscy ci, którzy nie mają odwagi skoczyć do wody z wysokości kilku metrów. Takich małodusznych jest, coprawda, niewielu.

Ocean, jaskrawo oświetlony czerwonym refleksem pożaru, rusza się, żyje, roi się od ludzkich głów.

A nad tem cmentarzyskiem — roziskrzone gwiazdami niebo, wokół niezmącona cisza oceanu i spokojna tafla bezbrzeżnych wód.

Zazdrość: ani tobie, ani mnie — pcha ludzkie stado do przeładowanych łodzi, które i tak lada chwila mogą się przewrócić.

Dziesiątki rąk chwytają się łodzi i nic już, żadne uderzenia wiosłem nie są w stanie zmusić do rozwarcia palców...

Pod akompanjamentem dzikich krzyków wywracają się łodzie i wszyscy bezradnie wpadają do wody. Nieumiejący pływać czepiają się pierwszego - lepszego, by po chwili razem pójść na dno...

Ammałat, dobry pływak, wychowany nad brzegiem morza Kaspijskiego, nie zastanawiał się przed skokiem z wysokości czwartego piętra. Ale najpierw rozebrał się do bielizny i zdjął pantofle. Wszystko sobie obmyślił. Gdyby nawet trafił do łodzi, korzyści żadnej. Nadzieję pokładał tylko w sobie, w swoich siłach. Trzeba jaknajdłużej przetrzymać się na wodzie, byle tylko sił starczyło i oddechu!...

Pasy ratunkowe już wszystkie rozchwytano. Przetrzymać się resztę nocy na wodzie, a rano — zobaczymy co pośle Allach ze wschodem słońca.

Skoczył na parapet, który oparzył mu stopy, złożył ręce pod ostrym kątem nad głową i rzucił się do oceanu.

Jak strzała, wypuszczona z łuku, ciało Ammałata przecięło oślepiająco jaskrawą i gorącą warstwę powietrza, następnie zimną wodą i, zatrzymane na wielkiej głębokości, wypłynęło na powierzchnię.

Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą głowę annamity z wyszczerzonemi silnemi, czarnemi zębami.

(Dalszy ciąg w następnym numerze.)

Wkrótce rozpoczynamy drukować trzy nowe, bardzo piękne i ciekawe powieści. Tytuły podamy w następnym numerze!!!

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 105



Wśród wzburzonych fal oceanu tonie okręt... Niewiadomo, czy łódź ratunkowa zdoła dobić do niego, czy też pochłoną go bezmiary wód i pogrzebią wraz z nim setki ludzkich istnień...

Świat był tak piękny i przedstawiał tyle uroku. Doprawdy, warto żyć! A ona, — chciała umrzeć, — — odejść z tego świata! Czyż ma dobrowolnie złożyć swą głowę na pniaku i opuścić ukochanego mężczyznę, — najdroższego Kazimierza?

Może się jej uda przekonać hrabiego Zamskiego! Tutaj, w tem obcem mieście była z nim sama! W końcu powiodło się jej, że Kazimierz nie znajdował się pod wpływem hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Dzisiaj w nocy będzie spała z Kazimierzem w tym samym hotelu, tuż obok niego.

Wspólne drzwi łączą ich pokoje. O, dlaczegożby nie przypuściła ostatniego szturmu do jego serca? — To było niemożliwe, by jej wdzięki nie wywarły wrażenia na zmysły Kazimierza.

„Tak," rzekła Lola, „teraz walczę tylko z cieniem, z tem wspomnieniem o Anielci. Zobaczymy, czy moje różowe, wonne ciało nie pokona tych młodzieńczych mrzonek."

W oczach pięknej, demonicznej kobiety błysnął ogień tryumfu. Na ustach zawisł krótki, ironiczny uśmiech, a bujnie zaokrąglona pierś zafalowała silniej pod lekką osłoną.

Krok Loli był teraz pewniejszy; jej chód żywszy. Kołysała się uroczo w biodrach. Oh, to nie była Lola pokutnica, która chciała życiem zmyć hańbę, — nie, Lola była znowu syreną, — piękną uwodzicielką, — awanturnicą, stawiającą wszystko na jedną kartę.

„Lolu, Lolu!" odezwał się ktoś nagle tuż za nią.

Piękna kobieta stanęła jak słup soli. Jej ciało przebiegł dziwny dreszcz. Nie miała wprost odwagi spojrzeć w tę stronę, skąd posłyszała wołanie.

„Wreszcie spotkałem cię", mówił męski głos. „Do djabła, natrudziłem się, zanim cię spotkałem tutaj w Hamburgu!

„Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego nie podajesz ręki? Czy to tak się wita ojca, który poświęcił wszystko dla swojej córki, byle tylko ją mógł odwieść od tego szaleństwa?"

„Ojcze", szepnęła Lola, „ty tutaj?"

„Tak", odparł Satanelli, gdyż on to był we własnej osobie, który teraz szedł z Lolą przez Wysoką ulicę. „Przybyłem z myślą, żeś się opamiętała. Mężczyzna, którego kochasz, namówił cię do tego kroku. Zważ, że obecnie nie jesteś daleko od miejsca zguby! Lolu, wracaj! Przybyłem po ciebie! Najwyższy czas, — uciekajmy, — bo w przeciwnym razie dostaniesz się w ręce kata."

Lola spojrzała zimno i spokojnie na ojca.

„Nie prosiłam cię o to," odparła głucho, „i nie pojadę z tobą, ponieważ nie porzuciłam mego zamiaru."

„Szalona!" zawołał Satanelli, „czyż napróżno odbyłem morską podróż i wystawiłem się na tysiączne niebezpieczeństwa, byle tylko przybyć jak najprędzej do Hamburga? Więc napróżno zakradłem się na jacht jednego bogatego Anglika, który wyjechał z Steenfol? Całą noc przepędziłem w składzie węgli i o mało co nie zginąłem z głodu. Wszystko jednak znosiłem cierpliwie, gdyż myślałem ciągle o twoim ratunku."

„Dziękuję ci, ojcze", rzekła Lola, „to jednak nie wzruszy mojego postanowienia. Jutro rano jedziemy do Kolonii, — jutro o tym czasie, będę w więzieniu, w mojem ostatniem mieszkaniu na tym padole płaczu i nędzy."

Satanelli wykrztusił sprośne przekleństwo. W jego wzroku malował się gniew i troska o swoje piękne dziecko.

„To twoje ostatnie słowo?" zawołał po chwili. „Lolu, namyśl się dobrze! Gdy cię teraz opuszczę, pozostaniesz bez opieki wydana na pastwę losu. Ukryję cię w bezpiecznem miejscu, — przysięgam ci. Lecz z chwilą, gdy się zamkną za tobą drzwi więzienne, wówczas jesteś zgubiona bez ratunku! Nie potrafię cię wydrzeć z rąk kata. Nieszczęśliwe dziecko, dlaczego pragniesz umrzeć? — Spojrzyj dokoła! Życie przedstawia tyle uroków! Może będziesz jeszcze szczęśliwą! Lolu, porzuć te myśli o śmierci! Zginąć jak pies, — o, to straszne! Rozważ dobrze! Ostatni raz pytam cię: pojedziesz ze mną?"

Każde słowo Satanellego spadało obuchem na Lolę. Drżała i stała bez ruchu, — z jej piersi wydobył się głuchy jęk.

„Ach, jesteś wzruszona? Zwycięstwo, — wygrałem!"

„Jeszcze nie, ojcze! Ale może, — może!" szeptały jej wargi. „Słuchaj, daj mi czas do jutra. Dzisiaj w nocy, spróbuję jeszcze raz szczęścia. Jeszcze raz będę walczyła o cenę, dla której poświęciłbym własne życie. — Widzisz, ten duży zbiornik wody?"

„Tak, rozszerzone łożysko rzeki," odparł Satanelli, „co chcesz powiedzieć?"

„Ojcze, czekaj na mnie jutro rano o piątej godzinie, koło tego domku przewoźnika!"

„Dobrze! Przyjdziesz napewno?"

„Przyjdę z pewnością, — i dam ci stanowczą odpowiedź. Albo powiem ci, że jestem szczęśliwą, jak nikt na tym świecie i że nie myślę o tym tragicznym końcu w Kolonii, — albo też poproszę o twoją pomoc!"

Lola wymówiła ostatnie słowa w dziwnym tonie. Z jej oczu padł snop błyskawic. Satanelli zadowolony, że Lola nie myślała więcej o swoim szalonym projekcie, nie zauważyła wcale tej walki, która szalała w piersi uroczej, ciemnowłosej kobiety.

„Więc jutro o piątej godzinie," zawołał, „tam przy tej budce, nad brzegiem rzeki! Oczekuję cię, moja córko.

„Przyjdę!" powtórzyła piękna grzesznica, podała rękę Satanellemu i po chwili znikła w ulicznym tłumie.

CCVIII.

Ostatnia walka

Lola w kilka minut później wróciła do hotelu. Nie przechodząc przez pokój Kazimierza, weszła prosto z korytarza do swojej sypialni.

Nadsłuchiwała pod drzwiami. — Kazimierz nie wrócił jeszcze. Widocznie zabawił dłużej u bankiera.

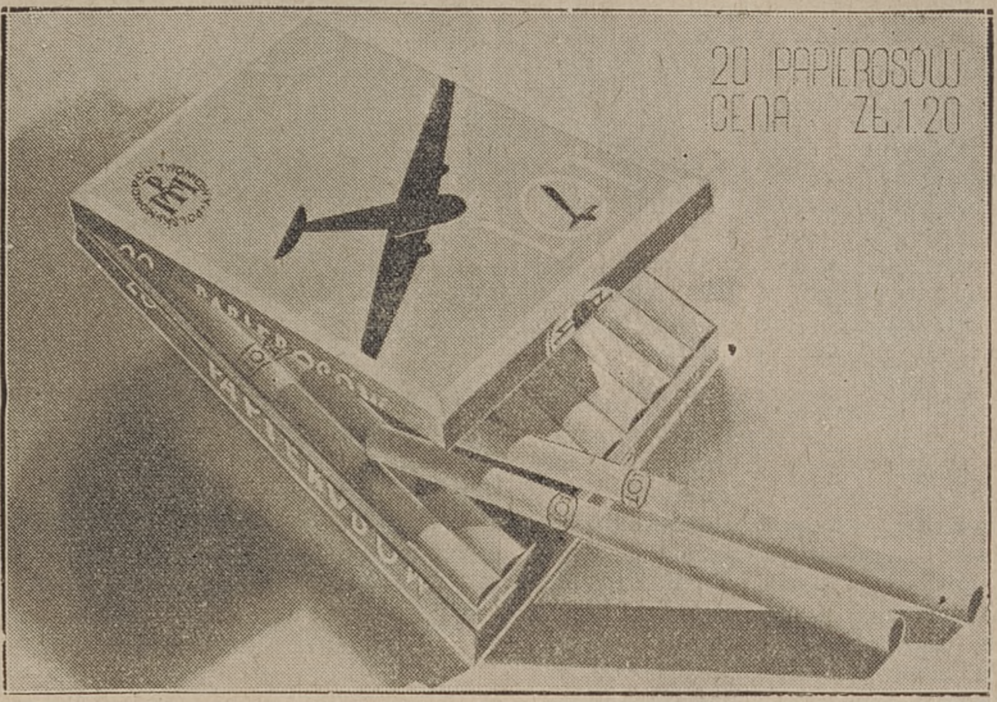
Lola nie zapaliła lampy, nie chciała bowiem, by Kazimierz zauważył, że nie śpi. W ciemności rozebrała się, zarzuciła wyszywaną koszulę i otuliła się długim płaszczem, kupionym u Chaima Stieglica.

Usiadła na krzesełku przy oknie i spojrzała w niebo, zasiane niezliczoną ilością gwiazd.

W łagodnem świetle gwiazd odbijała się ostro jej blada twarz. Na ustach igrał uśmiech, zdradzający wewnętrzny żar namiętności, — był to uśmiech którym kobiety zniszczyły królów i całe narody, — ów uśmiech, który posiadają aniołowie albo szatani.

Kazimierz zabawił dłużej u bankiera, aniżeli myślał. Nie zastał kapitalisty w kantorze i był zmuszony udać się do

PAPIEROSY „LOT"



Na prośbę Polskich Linii Lotniczych „LOT" Polski Monopol Tytoniowy wypuścił na rynek nowe papierosy ustnikowe pod nazwą „LOT". Papierosy opakowane są w bardzo estetyczne pudełka z sylwetką samolotów i godłem naszej komunikacji powietrznej. W każdym pudełku znajduje się ulotka przedstawiająca sieć naszych szlaków powietrznych.

jego mieszkania. Tutaj powiedziano mu, że pan Berman, — tak się nazywał bankier, — poszedł do klubu. Kazimierz nie chciał iść do klubu i dlatego nie pozostało mu nic innego, jak czekać w restauracji i obserwować, kiedy pan Berman wróci do domu. W ten sposób zeszło do jedenastej. Hrabia Kazimierz załatwił prędko swój interes, gdyż Berman oświadczył, że cały majątek powierzyłby hrabiemu.

Młody hrabia żądał jednak tylko pięć tysięcy marek. Podpisał weksel, a bankier wyliczył mu na stół żądaną kwotę w nowych banknotach.

Była północ. Kazimierz, wróciwszy do hotelu, przekonał się przedewszystkiem, czy Lola jest już w domu.

Słyszał jej kroki w sąsiednim pokoju.

„Dotrzymała słowa," rzekł do siebie, „widzę, że jej można zaufać. Teraz ucichły jej kroki, — prawdopodobnie udała się na spoczynek. Wobec tego położę się, bo jestem strasznie znużony."

Kazimierz rozbierał się ostrożnie.

Wzrok swój skierował na drzwi, które dzieliły obydwie sypialnie, a zarazem łączyły te dwa pokoje.

Kazimierz czuł dziwny wewnętrzny niepokój. Nie mógł pozbyć się tej trwogi, którą wzbudziła w nim owa piękna demoniczna kobieta.

Nalał szklankę wody i wypił ją duszkiem. Czuł jednak, że jego ręka, gdy postawił szklankę na stole, zadrżała silnie.

„Co mi się stało?" rzekł niechętnie cichym głosem, „dlaczego jestem niespokojny? Czyż mi nie jest obojętne, że ta kobieta mieszka za ścianą? Nie mam z nią nic wspólnego! — Wprawdzie była niegdyś moją żoną i spoczywała na mojem sercu, — lecz ten związek nie istnieje więcej. Obecnie widzę w niej zupełnie obcą osobę, której charakter, — dzięki Bogu, — poznałem aż nadto dobrze. Wiem, że ze strony tej kobiety grozi mi wielkie niebezpieczeństwo."

Hrabia rozebrał się i podniósł kołdrę.

Lecz w następnej chwili zwrócił się jeszcze raz i spojrzał na drzwi.

„Może byłoby lepiej," rzekł do siebie „zamknąć drzwi i w ten sposób uniknąć spotkania? — Tak, to będzie lepiej, bo te oczy może kłamią. Nie ufam i nie wierzę w nawrócenie grzesznicy. Może, że ją nagle opęta szalona myśl, — może zasypie prośbami i życzeniami, wobec których stracę równowagę."

Kazimierz zbliżył się do drzwi i wyciągnął rękę po klucz, lecz w tej samej sekundzie cofnął się, a na jego twarzy odbiło się silne postanowienie.

„Nie," szepnął, — nie będę się okłamywał. Nie z powodu tej kobiety chciałem zamknąć drzwi. — Działam we własnym interesie, bo nie jestem pewnym siebie!

„Miałbym używać takich środków, jak zamykanie drzwi na klucz? A gdzież mój charakter i moja męska stałość, które powinny być dla mnie najlepszą obroną?

„Nie, nie zamknę tych drzwi! Pomimo tego, położę się do łóżka, czuję bowiem, że wszelkie obawy są bezpodstawne."

Kazimierz zbliżył się do łóżka, złożył ręce i spojrzał ku gwiazdom.

„Nie opuszczaj mnie, moja Anielciu!" szepnął, a jego głos brzmiał jak modlitwa, — użycz mi twojej pomocy przez tę noc, bym wystawiony na pokusę, znalazł siłę do odparcia szatańskich podszeptów. Droga Anielciu, pokaż mi we śnie twoje anielskie oblicze. Chciałbym cię objąć i przytulić do piersi. Gdy załatwię moje smutne poselstwo, — po straceniu nawróconej ciebie. Wówczas będę cię szukał, i grzesznicy, — będę należał tylko do prawdopodobnie połączy nas miłość i wierność!

„Anielciu, wołam do ciebie: dobra noc! Śpij i śnij słodko! Dobra noc, — dobra noc, moje jedyne dziecko!"

Na niebie świeciły jasne gwiazdy, — których promienie wpadały do otwartej duszy Kazimierza, — były to niebieskie błyski miłości.

Kazimierz wrócił do łóżka i położył się na miękkiem posłaniu.

Lecz sen nie chciał zamknąć jego powiek.

Nie spał. Przed oczyma widział swoją całą przeszłość. Ciągle przesuwały się różne obrazy, a Lola grała wszędzie główną rolę. —

Jeszcze raz przeżył chwile swojego krótkiego małżeństwa od chwili, w której poznał piękną, występną kobietę!

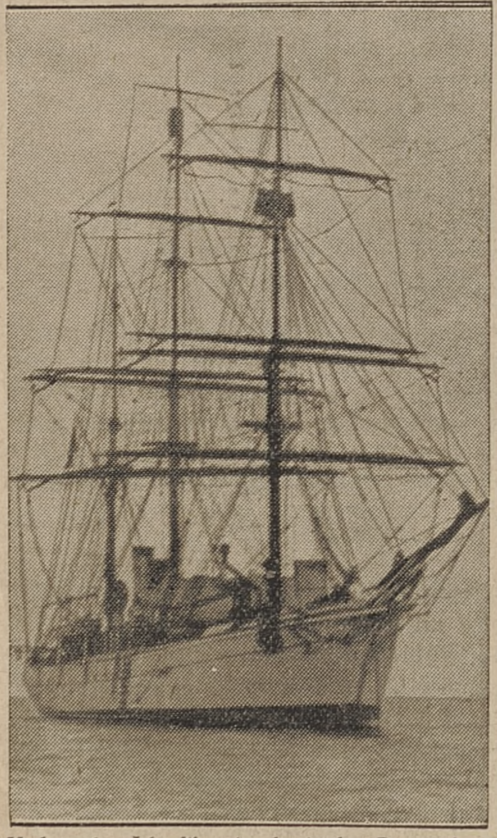
Wówczas przy łóżku umierającego ojca ujęła go za rękę. Zmusiła go wprost do małżeństwa, które tak smutnie się skończyło. Przecież wyznał jej, że kocha inną, że jego serce należy do Anielci. — Ach, wówczas Lola pomimo tego chciała go poślubić.

Lecz potem omijał zawsze jej sypialnię, aż do owej nocy, w której podle oszukany, musiałem wierzyć, że Anielcia oddała Bogu ducha.

Wreszcie uległ! Otoczyła go swojemi ramionami! Wtedy po raz pierwszy zapomniał o Anielci.

Kazimierz uprzytomniał sobie wszystkie sceny, które się odbyły w sypialni jego pałacu w Paryżu. Po chwili fantazja zaniosła go do zamku nad Wartą, gdzie trzymał w objęciach Lolę, nie wiedząc, że ta kobieta bawiła przy jego boku.

Ach, wówczas myślał, że Anielcia! Potrafiła go utrzymać w fałszywem przekonaniu, i darzyła go niewysłowioną rozkoszą!



U brzegów Islandii zatonął statek „Pourquoi pas" z francuską ekspedycją naukową. Z załogi liczącej kilkadziesiąt osób uratował się tylko jeden marynarz.

Ach, czyż nie przestanie nigdy myśleć o tej kobiecie? — Zapewne bliskie sąsiedztwo wywołuje takie myśli.

„Precz z temi nieczystemi myślami!“ zawołał cicho Kazimierz, „chcę spać i nie myśleć! — O Boże, rozprosz te wspomnienia, które mnie dręczą i nęcą jak syrenie głosy.“

Kazimierz ukrył głowę w poduszkach, przymknął oczy i zmuszał się do snu.

Wreszcie zamknęły się powieki; biedny hrabia popadł w lekki półsen.

Wtem nagle podniósł głowę. — Zdawało mu się, że posłyszał przy drzwiach szelest.

Nie, to pomyłka! Tylko księżyc świecił jasno i oblewał promieniami cały pokój. Widział drzwi. Były zamknięte, — widocznie pomylił się.

Znowu przymknął oczy i zasnął.

Wtem, — po raz drugi ciche skrzypnięcie! — — Teraz, — nie, to nie było złudzenie, drzwi się otwarły, — cicho, zupełnie cicho, jakby się zakradał złodziej i chciał obrabować Kazimierza z pieniędzy i kosztowności...

Może to złodziej, pragnący zgubić jego duszę i honor?

Kazimierz leżał bez ruchu. Patrzał ciągle na drzwi. W jego twarzy malował się paniczny przestrach.

Teraz zobaczył, — zimny dreszcz przebiegł jego ciało, — ciemną postać, odzianą w długi płaszcz, która przekroczyła próg. — Poczuł instynktownie wielkie niebezpieczeństwo.

Najpierw chciał wyskoczyć i zawołać o pomoc...

W tej chwili promień księżyca padł na ciemną postać i oświecił jej twarz, otoczoną ciemnym włosem.

Ah, — to była twarz Loli, piękne, blade, marmurowe oblicze, w którem świeciła para dziwnych oczu i koralowe usta, żądne namiętnych pocałunków.

Kazimierz wsparł się na łóżku i zawołał stłumionym głosem:

„Czego żądasz, kobieto? — Co cię tutaj sprowadza? — Przyrzekłaś nie przekraczać tego progu dzisiaj w nocy? Co cię tutaj sprowadza?“

„To ja, — Kazimierzu“, odparła Lola bezbarwnym głosem.

„Przyszłam pożegnać się z tobą i z życiem. Wiesz o tem, że jutro wejdę na drogę śmierci. Jutro zaprowadzisz mię na miejsce stracenia. Szalony człowieku, zapewne sądziłeś, że już śpię? Myślisz, że moje ciało skamieniało, a krew przemieniła się w wodę? Nie pojmujesz tego, że moja dusza rwie się do życia i szczęścia?

„Dlaczego nie mam być szczęśliwą!?“ mówiła Lola i zbliżyła się do łóżka, na którem leżał Kazimierz. „Jesteśmy sami, nikt nie zdradzi tajemnicy tej nocy. Nie jesteś zobowiązany do składania sprawozdania z twoich czynów, — haha, przede mną stoi widmo śmierci i wieczna czarna noc milczenia! Najdroższy, bądźmy jeszcze raz szczęśliwi“, zawołała piękna ciemnowłosa kobieta i spojrzała namiętnie na hrabiego Zamskiego, „bądź my szczęśliwi, jak niegdyś w dniach naszego małżeńskiego pożycia! Pamiętasz tę rozkosz, którą ci dało moje ciało?...



Słynny Alcar w Toledo, gdzie broni się bohatersko przed atakami wojsk czerwonych załoga powstańcza. Jak widać na zdjęciu, Alcazar ucierpiał poważnie od bombardowania artylerji rządowej.

Przypomnij sobie te ogniste urocze sceny, w których graliśmy główną rolę!...“

„Milcz, — milcz!“ przerwał Kazimierz niepewnym głosem, „twoje słowa napełniły mię żałością. Teraz przekonałem się, że moje zamiary nie odniosły żadnego skutku. Dzisiaj jesteś tak samo zepsutą, jak przedtem, gdyż inaczej nie miałabyś w ostatniej nocy twojego życia takich grzesznych myśli. Prawdziwa skrucha nie okazuje żadnych życzeń!“

„Do piekła z taką skruchą!“ zawołała Lola i wyprostowała ramiona.

W tej chwili była podobną do olbrzymiego straszydła.

„Nie chcę znać takiej skruchy, która żąda ode mnie, bym zrezygnowała z ostatniej miłosnej nocy! — Ach, jutro muszę umrzeć! A dzisiaj miałabym się zrzec największego szczęścia na tej ziemi? — Kazimierzu, — Kazimierzu, — nie jesteś przecież z marmuru, w twoich żyłach płynie gorąca krew! — Widzisz, — ja leżę u twoich stóp i błagam o odrobinę miłości! Jeszcze raz weź mię w twoje ramiona, przytul do piersi i pieść moje ciało! Niech się jeszcze raz połączą nasze dusze, tak jak je stworzył Bóg w owej uroczej letniej nocy, kiedy na całej ziemi panowała wszechwładnie bezgraniczna miłość i namiętna żądza!“

Piękna kobieta klękła przy łóżku, — wyciągnęła ręce do ukochanego, — jej białe zagięte palce były podobne w tej chwili do szpon drapieżnego ptaka.

Kazimierz siedział na posłaniu i oparł się o zimną ścianę.

Nie mógł oderwać oczu od tej pięknej twarzy i od tych uroczych kształtów, rysujących się wyraźnie z pod płaszcza. Czuł zamęt w głowie, tracił równowagę i walczył z grzeszną, słodką namiętnością.

Ha, — obłęd, — szaleństwo! Wiedział, że Lola jest występną kobietą. Zamordowała własną matkę i zrzuciła ją ze skały do rzeki.

Kto zdoła przytulić morderczynię do serca? Nikt nie przyjmie pieszczot kobiety, która już jutro stanie na rusztowaniu?

A jednak, — jednak, — trzęsienie ziemi burzy domy, miasta i skały, tak podobnie giną wszystkie logiczne wnioski i postanowienia, gdy kobieta oczaruje mężczyznę swoimi wdziękami.

Fala rozpalonej namiętności burzy wszystko i niszczy serca mężczyzn, nawet gdyby były ze spiżu, lub z granitu.

„Anielciu“, — szepnął Kazimierz cicho, — „Anielciu, chroń mię. — Anielciu, gdzie jesteś, — dlaczego mię opuściłaś? — Zasłoń mi oczy, bym nie widział, — weź serce, by nie czuło.“

„Napróżno wzywasz pomocy tej kobiety“, odparła Lola w ironicznym tonie i pochyliła się nad łóżkiem, „niema jej tutaj. Kazimierzu, za to ja jestem przy tobie i pragnę obdarzyć cię rozkoszą. Dlaczego gonisz za ułudą, której nie widzisz i nie czujesz. Widzisz, — przy tobie pulsuje życie, — pełne namiętności, — życie przybrane w urocze kształty! Wszystko to możesz widzieć, — czuć, — i używać!“

Błyskawicznym ruchem zrzuciła Lola płaszcz z ramion. Kazimierz zobaczył teraz drżące różowe ciało, odziane tylko przezroczystą koszulą.

Kazimierz czuł coraz większą bezsilność. Jako słaby człowiek z ludzkiemi uczuciami, — coprawda mógł poskromić namiętności, lecz o stłumieniu nie było mowy, — widział przed sobą piękną kobietę, której nagie formy mogły służyć rzeźbiarzowi jako najpiękniejszy model Wenery. —

Kazimierz zakrył twarz ręką, — nie chciał widzieć! Nie, widok tej demonicznej kobiety nie złapie jego woli!

Lecz w tej samej chwili odsunięto mu rękę, i zobaczył Lolę tuż przy sobie, która patrzyła na niego płomiennem okiem, obiecującem niezwykłe rozkosze.

„Kazimierzu“, szepnął cichy, łagodny głos; Lola przytuliła się do jego piersi. „Kazimierzu, pozwól mi pozostać przy tobie. Nie bądź szalonym, nie odsuwaj

szczęścia, które się zbliża ku tobie, Kazimierzu, daruj mi tylko tę jedyną noc. Jutro, — jutro będziesz znowu nieograniczonym panem swojej woli. Jutro stracę cię na zawsze! Lecz dzisiaj bądź moim! Chodź, połóż głowę na mą pierś! Tak, Kazimierzu, tak! — Nieprawda, jak to słodko! Pozwól, że złożę pocałunek na twoich wargach, — wyssałabym z nich życie. — Chciałabym wiecznie spijać tę słodycz. Dam ci rozkosz, wszystko, czego tylko zażądasz, — a ty, — ty dasz mi tylko skarb twojej miłości.

„Oh, Kazimierzu, jak to słodko. — Czujesz to szczęście, które trzęsie mojem ciałem? Oby uczucie, którego doznaję, przelało się w twoje żyły. — Zdaje mi się, że nie jestem na ziemi, lecz hen wysoko w niebie, tak szczęśliwą jestem przy tobie. Pozwól, że oplotę twóją głowę moimi włosami. Zarzucę ci je na twarz jak zasłonę. — Przez tę jedwabną zasłonę będę całowała twoje słodkie wargi. Najdroższy Kazimierzu, — używajmy. — Ach, — gdybym mogła teraz umrzeć w twoich objęciach, — o mój jedyny, — ukochany, — tracę zmysły z rozkoszy!“

Czyż on nie był już szalony? — Leżał w objęciach tej kobiety? — Czy to nie było szaleństwo, że pieścił istotę, zasługującą na pogardę?

Ach, poco myśleć! Teraz trzymał szczęście na sercu, — szczęście własnej osoby.

Spojrzenia pięknej kobiety wpijały się w jego duszę, jak ogniste płomienie. W jednej chwili zniszczył wszystkie wzniosłe i szlachetne popędy. — Tak, taka namiętność niszczy wszystko.

„Lolu — Lolu, — co czynisz ze mną?“ westchnął Kazimierz, „odejdź, pogardzam tobą!“

„Gardź, — lecz kochaj mnie!“ błagała piękna kobieta, „jutro wypędź mnie, — jutro odejdę, — ale teraz, — — teraz, — Kazimierzu, — przyciśnij Lolę do piersi, tam gdzie bije twoje serce, — najdroższy, jam twoja duszą i ciałem!“

Lola osunęła się powoli na klęczki. Chciała zbliżyć się do Kazimierza i oszołomić go miłosną pieszczotą.

Lecz młody hrabia ocknął się i postanowił walczyć z namiętnością, która groziła mu hańbą i poniżeniem, — nie, tylko to nie! A jednak na widok tego ciała, dyszącego namiętnością, — tych otwartych warg, stworzonych do całowania, wtem —

(Ciąg dalszy nastąpi)



Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 27 września 1936 r.

8.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja mszy św. odprawionej na wałach przy Klasztorze Jasnogórskim przez J. E. Ks. Kardynała Prymasa. 12.03 „1000 taktów muzyki w wykonaniu zespołu Stefana Rachonia i solistów (z Wystawy Radiowej) 13.00 „Moskiewski lokaj“ — obrazek obyczajowy z powieści Stanisława Szpotańskiego „Czerwone Maki“ 14.30 Audycja dla wsi 15.30 „Z dawnych czasów“ — płyty 16.45 Koncert połączonych orkiestr wojskowych 17.30 „W dworku na Nowolipkach“ — słuchowisko z okazji odsłonięcia pomnika Wojciecha Bogusławskiego w Warszawie 18.00 „Podwieczorek przy mikrofonie“ 20.25 „Poetka złotych wizji“ 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“ 21.30 Pół godziny muzyki fortepianowej Claude Debussey'ego 22.20 „Z różnych stron“ — koncert 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 28 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Muzyka fortepianowa (płyty) 15.45 „Chwilka pytań“ dla dzieci starszych 16.00 Koncert popularny 16.45 „Opieka nad matką robotnicą“ — pogadanka 17.00 Koncert orkiestry Pawła Rynasa z udz. J. Brochwiczówny i Wł. Olkusznika 18.00 Audycja poświęcona prof. Al. Brücknerowi z okazji 80-tej rocznicy urodzin 19.10 Pieśni włoskie w wyk. Witolda Łuczyńskiego (tenor) 19.30 „Las i polska pieśń łowiecka“ — audycja muzyczna 20.30 „Birobidżan — sowiecka Palestyna“ — felieton 21.05 Koncert wieczorny 22.20 „Mozaika muzyczna“ 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 29 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Trio salonowe z Poznania 16.00 Muzyka lekka 16.45 „Książe Józef Poniatowski“ — odczyt 17.00 Koncert Zespołu Mandolinistów „Kaskada“ 17.20 Recital fortepianowy Very Winogradowej 17.50 „Mont Everest — góra niepokonana“ — felieton 19.00 Koncert rozrywkowy 20.30 „O poetach i rymopisach“ — szkic literacki 21.00 Transmisja z Sali Konserwatorium koncertu „Ormuz'u“ 22.15 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 30 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Rewia znakomitych tenorów 15.45 „Niezwykłe przygody Jędrka i Felka“ — słuchowisko 16.15 Koncert popularny 17.00 Koncert rozrywkowy 18.00 „Anegdoty z życia Wyspiańskiego, Reomonta, Przybyszewskiego“ — felieton 19.10 Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia 20.00 Tino Rossi śpiewa piosenki 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Zofii Rabcewiczowej 21.30 Kwartet fortepianowy Roberta Schumanna 22.15 „Czego ucho zapragnie“ lekka audycja muzyczna 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 1 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych 12.23 Koncert Tria Salonowego Polskiego Radia 15.45 „Przyroda w październiku“ — pogadanka dla dzieci 16.00 Franciszek Schubert: Oktet F-Dur op. 166 16.45 „W dwudziestolecie dymisji J. Piłsudskiego z dowództwa I-ej Bryg. Legj.“ — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 „Tam gdzie chleb jest przysmakiem“ — felieton 18.00 „Jak spędzić święto“? 19.00 Ogłoszenie wyników plebiscytu Wydziału Literackiego Polskiego Radia pt. „Najlepsze słuchowisko w sezonie 35/36“ 19.35 Koncert Kapeli Ludowej 21.00 „Zapomniane pieśni“ 21.30 Koncert w wyk. Poznańskiego Chóru Katedralnego 22.15 „Sport w Katowicach“ — pogadanka (Z Katowic) 22.30 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 2 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Muzyka symfoniczna 16.00 „Tysiąc i jedna noc“ — koncert 16.45 Reportaż z Polesia 17.00 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radia 19.20 Koncert rozrywkowy 19.50 „Rewia mód“ 20.05 Inauguracyjny koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 23.00 Muzyka taneczna.

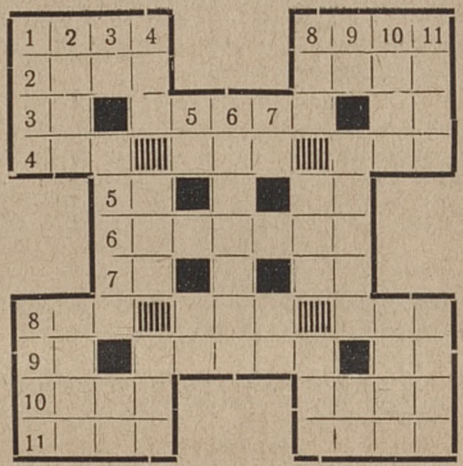
Sobota, dnia 3 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 14.30 Muzyka rozrywkowa 15.45 „Piosenki dla dzieci“ 16.00 Koncert w wyk. Orkiestry Tramwajów i Autobusów Miejskich 16.45 „Stolice państw Bałtyckich“ — reportaż 17.00 Koncert solistów 17.50 Siedem klasztorów i gdzieniegdzie domki“ — felieton 19.00 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radia 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Koncert kameralny 21.30 „Wesoła Syrena“ 22.15 Koncert 23.00 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Krzyżówka magiczna

uł. „Velga“.



Wyrazy pomocnicze: 1) Inaczej więcej — jednostka napięcia prądu. 2) Pora roku — walka zaczepna. 3) Wskazanie miejsca. 4) (wspak). — roślina warzywna — inicjały wieszcza polskiego. 4) Jeden z przetworów owocowych — in. rozdzieram — termin, używany przy grze w szachy (wspak). 6) Przewodniczący rządu. 7) Dwie jednakowe litery — skrót monetarny w Rosji. 8) Ukrop — angielski duchowny — imię żeńskie (zdrobn). 9) Dwie różne spółgłoski — sakwa — starożytne miasto nad Tygrysem i Eufratem. 10) Zwierzę egzotycznych krain — in. zamyśla się. 11) In. robię płótno — rodzaj trunku.

Szarada

uł. S. F.

Pierwsze — to zabawa taneczna,
Przemiła i słoneczna,
Kto zaś ma *drugie* nad głową — to pan,
Bo go chroni od pogody zmian.
Gdy *pierwsze* i *drugie* zgadniecie,
Całość — to kwiatostan — powiecie.

Za rozwiązanie powyższych zdań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 2 października br.

Rozwiązanie zadań z nr. 37 „Moich Powieści“: Konikówka: „Dumnym powinien być każdy Polak widząc potęgę swojej ojczyzny“. Po nitce do kłębka: 1) a.. 2) ar. 3) ara. 4) arab. 5) araba.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Fr. Jarski — Unisław, Karol Szastok — Chorzów 3, „Eros“, Juljan Andrzejewski — Zaniemyśl, Maryla Królakówna — Anin, Władysław Pątkiewicz — Płock, Witolda Charaszkiewiczówna — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Witoldzie Charaszkiewiczównie z Poznania i Władysławowi Pątkiewiczowi z Płocka.

HUMOR

Idylla maleńka taka

Plagą mieszkania pana Pinczowera są myszy. Ponieważ wszelkie pułapki zawiodły pan Pinczower kupił sobie kota.

— No jak tam pański kot? — spytał go po paru dniach sąsiad. — Czy jest dobry na myszy?

— Co znaczy, czy dobry? Jadą z niemi z jednej miski!...

Wystawa

Pan Alojzy ma znakomity sposób na wierzycieli. O każdej porze dnia służąca informuje, że pana Alojzego niema, wyjechał, że chory itp. Pewnego razu zgłosił się jakiś wierzyciel, który kilka razy dziennie usiłował wydostać swą należność.

Pan Alojzy poucza służącą:

— Marysia powie temu panu, że mnie niema, że dziś wyjechałem do Chicago na wystawę.

W tym rozlega się dzwonek. Marysia otwiera drzwi i powiada:

— Niema pana. Pan wyjechał dzisiaj na wystawę do Chicago i wróci późno w nocy.

Zbrojni przodkowie

Pan Zbyszko Kohn-Koński oprowadza gościa po swych salonach.

— A tu jest galerja moich przodków!

— Co pan mówi? — dziwi się gość. — Jak widzę, wszyscy są uzbrojeni w miecze i tarcze! Czy handel w dawnych czasach był tak niebezpiecznym zawodem?

Oszczędny Jureczek

Mama: — Musimy teraz bardzo oszczędzać. Ojciec przyrzekł nie palić i nie pić piwa, ja przestanę jeść wszelkie słodycze... No, a ty, Jureczku, w jaki sposób zechcesz oszczędzać?

Jureczek: — Ja mogę przestać chodzić do szkoły.

Pociecha

Pewien śpiewak skarży się przed przyjacielem na krytyka, który źle o nim napisał.

— Nic sobie z tego nie rób — uspakaja go kolega. — Przecież to jest zupełny ignorant, on powtarza tylko to, co inni mówią.

Logika

— Panie, mój pies, to fenomen! Wczoraj, kiedy wyszedłem z domu, zerwał się z łańcucha i po upływie dwóch godzin znalazł mój ślad w mieście! Cóż pan na to?

— Myślę, że powinien pan wziąć kąpiel.

Akcja oddłużeniowa

— Tobie to dobrze — zwraca się pan Brzusiak do swego przyjaciela — urzędnika. — Ty masz przynajmniej jeden dzień w miesiącu szczęśliwy: pierwszy...

— Dlaczego szczęśliwy?

— Pierwszego dostajesz przecież pensję...

— Przesada! Zrana każdego pierwszego nie mam jeszcze ani grosza, a wieczorem tego dnia nie mam już ani grosza!

Oko za oko

Żona: — Stajesz się z każdym dniem złośliwszy!

Mąż: — Ja mogę jeszcze, ale ty już nie.

Środek na bezsenność

— Choruję na bezsenność, proszę pani i nie mogę znaleźć środka przeciwko temu cierpieniu.

Dama (ziewając): Niech pan dotrzymuje tylko sobie samemu towarzystwa!

Arogant

Kociołek upił się. Opuszczając kawiarnię, woła do stojącego w drzwiach umundurowanego jegomościa:

— Dobry człowieku, zawołajcie mi auto!

— Arogant! — oburzył się tamten — jestem kapitanem.

— To w takim razie zawołajcie mi okręt!

Niedola służącej

— Mój złoty, wyobraź sobie, co za nieszczęście. Nasza Kasia podczas sprzątania złamała nogę.

— Zapowiedz jej, że wszystko, co tylko połamie, potrąci się jej z pensji.

Ostrożny

— Mój mąż długo się namyślał, zanim się oświadczył.

— Tak, tak, ostrożni najwięcej wpadają.

Fałszywe połączenie

— Stasiu, czy Stasia odebrała jakiś telefon dla mnie podczas mojej nieobecności?

— Tak jest, proszę pani. Dzwonił ten pan, co to zawsze mówi „pomyłka", ile razy kto inny, a nie pani podchodzi do aparatu.

Roztargniony

— Pani ma cudowne zęby!

— To po matce.

— A jak to dobrze pasują!

Litościwa

— Dlaczego ta śpiewaczka przymyka oczy?

— Widocznie nie może patrzeć na cierpienia swych słuchaczy.

Posłuszeństwo

Wuj: — No, Karolku, kto z was najpilniej słucha mamusi?

Karolek: — Tatuś.

Romantyczne zajęcie

— Przez dwadzieścia lat pędziłem żywot poszukiwacza złota.

— W Alasce, czy w Afryce?

— Nie, w opuszczonych mieszkaniach.

Szczęście

— Niech pan sobie wyobrazi, co mi się wczoraj przydarzyło w teatrze. Siedzę sobie w krzesłach, a obok mnie jakiś tęgi facet. Nagle sąsiad mój spada z krzesła. Szlag go trafił. Niech pan pomyśli, jak łatwo mógł mnie trafić!

Kryzys

— Zesiwiałem zupełnie w ostatnim miesiącu.

— A tak, tak, panie drogi... Kryzys...

— Właśnie, nie miałem nawet na farbę do włosów...

Zdrowa cera

— Małżonka pańska w ostatnich czasach znakomicie wygląda; ma taką świeżą cerę!

— A tak, dwa razy dziennie świeżą.

Dał, co mógł

— Dałeś co Hosenduftowi na rachunek weksla?

— Dałem, co mogłem.

— Ile?

— Dałem mu słowo honoru, że narazie nic mu dać nie mogę.

Przezorny

Przed operacją pan Hufnagel wyjmuje portfel, aby zapłacić honorarjum. — „Drobiazg! niech się Pan nie spieszy; zapłaci Pan mi — jak Pan wyzdrowieje" — mówi lekarz.

— „Ale przecież p. doktór ma mnie uśpić" — odpowiada Hufnagel, więc muszę wiedzieć, ile mam przy sobie".

Pociecha

— Tatusiu, masz szczęście! — mówi Wicuś w dzień zakończenia roku szkolnego.

— Jakto?

— Nie kupisz mi nowych książek, bo zostałem na drugi rok.

W sądzie

— Czy oskarżony może przytoczyć jakieś okoliczności, któreby wpłynęły na zmniejszenie mu kary?

— Chyba to, panie sędzio, że już dziesięć razy mnie zamykano i nic nie pomogło.

Chojny pracodawca

— Pryncypał do urzędnika. W pierwszym roku nie mogę dać panu żadnej pensji, ale za to na przyszły rok dam dwa razy więcej.

U doktora

— Na chorobę pana znam dwa bardzo dobre lekarstwa, lecz muszę uprzedzić, że oba nic nie pomogą.

A to wpadł

Mąż wraca późną nocą do domu. Aby żony nie przebudzić, zdejmuje w sieni obuwie i pocichutku wsuwa się do sypialni. Niestety — żona się budzi. Mąż więc siada przy kołysce i zaczyna ją z przejęciem kołysać i nucić: „Śpij, aniołku, śpij, czarne oczka zmruż"...

Żona z oburzeniem: — Człowieku, co ty robisz?!

Mąż: — Już od dwóch godzin tu siedzę i nie mogę tego bębna uspokoić.

Żona: — Co?... Przecież on leży u mnie.



Przechodzień do policjanta:
— Jakto, nie ściga pan złodzieja?!
— Mój panie, jestem specjalistą od przemierzania „czterystometrówki" więc pozwalam mu nieco odbiec...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.